

LILIAN DARCY

**Jeszcze
zaświeci słońce**

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Paula niemal natychmiast zrozumiała, że podjęła słuszną decyzję. Przez chwilę zastanawiała się nawet, dlaczego już dawno tego nie uczyniła, ale przyjrząwszy się dokładniej swemu życiu - całym trzydziestu sześciu latom - doszła do wniosku, że wcześniej ten ruch nie był możliwy. Istniały pewne sprawy, brakowało czasu. Musiała się zmagać z czymś zupełnie innym, ale teraz...

Teraz jest w Arizonie.

Wyprostowała się i głęboko odetchnęła pustynnym powietrzem; stała w małym ogródku przed domem, ubrana w luźną bluzkę i płócienne spodnie. Dzień zapowiada się gorący. Jeszcze jeden upalny dzień...

Swoją drogą, pomyślała, powinnam przestać stale powtarzać sobie, że tu panują upały. Tutejsi narzekają na temperaturę dopiero od czterdziestu stopni wzwyż! To naprawdę wspaniałe: rano budzi człowieka przyjemny chłodek, a potem robi się upał, przy czym w cieniu stale jest rześko. Zupełnie inaczej niż na środkowym zachodzie.

Całe życie spędziła w Ohio, znosząc obfite opady śniegu zimą i duszne upały latem, stale na to narzekając i nigdy nie mogąc się z tym pogodzić. W Arizonie panował o wiele łaskawszy klimat i już zdążyła go polubić. Drzewa w ogródku pokryły się kwiatami i wokół unosił się zapach wytwornych perfum. Delikatny szum fontanny nawadniającej trawnik, przerywany szumem ptasich skrzydeł, stanowił idealny podkład muzyczny.

To właśnie ptaki obudziły ją pierwszego dnia po przyjeździe, ponad tydzień temu. Były tak maleńkie, a ich skrzydełka poruszały się tak szybko, że robiły wrażenie jakichś nieznanych owadów. Najpierw chciała je przepędzić ruchem ręki, ale kiedy przyjrzała im się uważniej, zrezygnowała z tego. Miniaturowe ptaszki były prześliczne, kolorowe i zwinne; poruszały się z wdziękiem nakręcanej zabawki. Nagle jeden z nich usiadł wtedy na jej ramieniu; siedział tak przez kilka sekund, zupełnie jakby jego obecność była darem, który pragnął jej ofiarować na powitanie. Odtąd, ilekroć schodziła do ogródka, zastygła w bezruchu, mając nadzieję, że cud się powtórzy. Teraz też wstrzymała oddech, wpatrując się w maleńkie niebieskozielone cudo, które latało nisko, niemal muskając jej stopy.

Kiedy ptaszek poderwał się i poszybował, jakby miał jakiś bardzo pilny interes do załatwienia, Paula oprzytomniała. Ona też powinna już iść: dzisiaj zaczyna pracę na pediatрії; umówiła się przed siódmą. Musi się wprowadzić do swego nowego gabinetu i poznać cały zespół.

Jak na lekarza przystało, nie mogła wyjść z domu bez śniadania. To przecież najważniejszy posiłek dnia, zwłaszcza jeśli ktoś ma specjalne powody, by dbać o zdrowie. Połowka grejfruta, filiżanka kawy bezkofeinowej i miseczka kukurydzianych płatków z suszonymi owocami powinny wystarczyć.

Wcześniej wzięła prysznic i ubrała się, starannie dobierając strój. Płótno z lekkim dodatkiem jedwabiu, biel i delikatny odcień beżu. Delikatny makijaż podkreślał jej jasną karnację i złocisty odcień kasztanowych włosów. Pierwsze wrażenie jest najważniejsze, a zamierzała zrobić dobre wrażenie na nowych kolegach. Nikt, widząc jej smukłą sylwetkę, nigdy by nie przypuszczał...

Fala bólu i strachu wypłynęła z ukrycia, ale Paula natychmiast odwróciła jej bieg.

Życie jest piękne! Ma teraz ten cudowny dom z ogrodem i ptakami, ma pracę, którą lubi, a tutaj będzie jej tak samo

dobrze jak w Ohio. Znajdzie sobie jakieś hobby, będzie je kultywować, żeby wypełnić czas i mieć dodatkową satysfakcję. I nie pograżać się w niepotrzebnych myślach, które do niczego dobrego nie prowadzą...

Na przykład: wyroby ceramiczne i gra na saksofonie albo kaligrafia i skoki spadochronowe. Nie, skoki spadochronowe to zły pomysł. Ale może, jako wolontariusz, pomagać w ogrodzie zoologicznym na pustyni... Coś zawsze się znajdzie. Życie jest piękne! Jest naprawdę piękne!

Najlepszym tego dowodem jest przeprowadzka do Arizony. Kilka miesięcy temu ojciec Pauli wraz ze swą drugą żoną przeszli na emeryturę i przenieśli się na Florydę, pozbawiając Paulę tym samym jedyne rozsądne powody przebywania w Ohio. Postanowiła następane urodziny spędzić w zupełnie innym miejscu. O reszcie zadecydował przypadek. W styczniu spotkała na konferencji w Teksasie swojego byłego szefa z czasów, kiedy rozpoczynała pracę. Brian Javitz po chwili rozmowy powiedział jej, że poszukuje pediatry do szpitala w Arizonie, gdzie jest ordynatorem oddziału dziecięcego. Wymienił również nazwisko swego zastępcy, którym był doktor Max Costain.

Zaangażowano ją natychmiast po krótkiej konferencji telefonicznej, tak jakby opinia Briana Javitza i przebieg jej dotychczasowego życia zawodowego stanowiły wystarczającą rekomendację. Rozmowa była krótka i bardzo miła, przypominała raczej pogawędkę towarzyską niż rozmowę kwalifikacyjną, a Brian dorzucił kilka dodatkowych szczegółów.

- Bardzo chcemy, żebyś do nas przyjechała. Wanda, to znaczy doktor Hunt, która, jak wiesz, jest alergologiem, odchodzi niedługo na urlop macierzyński i musimy znaleźć zastępstwo. Jest nas tylko pięcioro, to znaczy razem z tobą...

Dał jej do namysłu dwa miesiące.

- Musiałabym sprzedać dom, złożyć wypowiedzenie, przekażać moich pacjentów...

- Wszyscy na pewno będą bardzo za tobą tęsknić.

- Powiem kolegom, że zmieniam pracę z powodu klimatu, a nie towarzystwa. Dobrze, Brian, zgadzam się, mogę zacząć już w marcu.

I tak się stało. W lutym wpadła samolotem na dwa dni do Zumy, żeby wynająć jakiś dom, zakochała się w tym ogródku i „ptaszkami” od pierwszego wejrzenia, a resztę formalności załatwiła faksem i telefonicznie. Wreszcie przybyła do Arizony, szczęśliwa, choć nieco strudzona trzydniowym prowadzeniem samochodu.

Podróż trochę ją zmęczyła, ale szybka zmiana miejsca, krajo-
braz przesuwały się za oknem i poczucie, że zostawia za sobą coś, co zakończyło się właśnie w listopadzie, sprawiały, że czuła się lekka i szczęśliwa.

Po przyjeździe Brian wraz z żoną zaprosili ją na kolację; poznała również jego kilkunastoletnie dzieci.

- Chciałbym cię poznać z twoimi kolegami, Maxem, Wandą i Deborah - rzekł pod koniec posiłku Brian. - Moglibyśmy się spotkać gdzieś na lunchu.

Zawiesił głos i wykorzystała to, by przerwać:

- Może lepiej odłożymy to na później; zacznę pracować i wtedy coś sobie zorganizujemy. Skoro doktor Hunt niedługo ma rodzić, nie mamy wiele czasu.

Tego ranka Brian był z nią umówiony w szpitalu; miał jej wskazać gabinet i pomóc rozpakować rzeczy. Na początku zamierzała przenieść jedynie książki; potem pomyśli, jak i czym ozdobić swoje nowe miejsce pracy.

Nagle ogarnęła ją chęć natychmiastowego działania. Ostatni tydzień spędziła, chodząc po mieście - zwiedziła wszystkie parki i skwery Zumy - rozmawiając z przypadkowo spotkanymi ludźmi i sprzedawcami z okolicznych sklepów. Wiedziała, że powinna zająć się czymś konkretnym. Samotność i brak zajęcia nie służyły jej.

Ponieważ nie знаła drogi i wyjechała z domu za wcześnie, dotarła do szpitala przed czasem. Czekała ją niemiła nie-

spodzianka: służbowe wejście na oddział było zamknięte, a ona nie miała klucza. Zmarszczyła brwi: przyjechała co prawda dziesięć minut za wcześnie, ale Brian mógłby już być. Odstawiła na bok pudło z książkami i z westchnieniem spojrzała na zewnętrzne żelazne schody, które właśnie przebyła. Rozejrzała się, a potem przysiadła na schodkach. Zamiast się denerwować, lepiej nacieszyć się widokiem. Ogród szpitalny, podobnie jak jej własny, pełen był kolorów i ptaków, dostrzegła nawet wysokie kaktusy.

Z zamyślenia wyrwał ją odgłos kroków. To pewnie Brian... Obejrzała się i zrozumiała, że weszła na górę niewłaściwymi schodami; obok biegły inne, i nimi właśnie zbliżały się kroki...

Nadal nie widziała, kto idzie, bo nadchodzący znajdował się dokładnie pod nią, ale kroki były już tak blisko, że lada moment miała zobaczyć, czy to Brian, czy nie. Poczowała pierwsze promienie słońca, gorące mimo wczesnej pory. Cofnęła się w cień.

To nie był Brian. Brian miał włosy lekko siwiejące, a czubek głowy, który ujrzała zza żelaznej poręczy, złocił się w słońcu jak płynny miód. Mężczyzna niósł w jednej ręce pęk kluczy, w drugiej miał telefon komórkowy. Uniósł rękę z kluczami i osłonił oczy, żeby zobaczyć, kto stoi na schodach. Wiedziała, że pod słońce nie może jej widzieć, mimo że ma oczy osłonięte okularami przeciwsłonecznymi. Ona też nie widziała jego oczu. Wyszła z cienia i stanęła przed nim.

- Czy doktor Costain? - spytała z wahaniem. - Brian ma wkrótce nadejść...

- Mam na imię Max - odparł. - Doktor Nichols, tak?

Uśmiechnął się, ukazując białe zęby.

- Tak - powiedziała. - A skoro ty jesteś Max, to ja w takim razie jestem Paula.

- Paula... - powtórzył, jakby smakował ten dźwięk, i pomyślała, że jeszcze nigdy jej imię nie zabrzmiało tak miło.

Nigdy za nim nie przepadała; zawsze uważała, że na siłę utworzono je od męskiego imienia Paul. A jednak w ustach

Maxa Costaina jej imię miało smak czekolady, było słodkie, tajemnicze i jakieś takie...

Zdjął okulary i mogła teraz przyjrzeć się jego oczom. Szare, otoczone długimi rzęsami, inteligentne i też jakieś takie... Było w nich coś jak nagły błysk flesza, podkreślający wyjątkowość momentu, coś nieoczekiwanego, co ją mieszało. Zupełnie jakby coś się stało, a ona nie wiedziała co.

- Zaraz otworzę - powiedział - i pomogę ci wnieść te książki. Brian rzeczywiście zaraz tu będzie. Miał rano jakiś problem z bliźniętami, którymi się zajmuje. Na razie uroczyste powitanie się nie odbędzie, za co bardzo przepraszamy.

Paula roześmiała się.

- Uroczyste powitanie? Nie wiem, co to takiego! Nikt nigdy mnie nie witał. Kiedy po raz pierwszy w życiu przyszedłam do pracy, usłyszałam tylko: „Pani jest ta nowa? Bardzo dobrze. Proszę iść do pokoju numer cztery, zmierzyć ciśnienie na dwójce i pobrać krew z szóstki, a potem trzeba zobaczyć osiemnastkę”.

Max przekręcił klucz w dwóch zamkach naraz.

- Widzę, że miałaś do czynienia z bardzo spokojnym szpitemalem - odrzekł poważnie. - Ja wpadłem jeszcze gorzej.

Dopiero po chwili zrozumiała, że żartował, i odpowiedziała uśmiechem na jego uśmiech.

- W takim razie czym prędzej powinniśmy złożyć zażalenie w Komisji Lekarskiej i kazać, żeby coś z tym zrobili - oznajmiła z komiczną powagą. - Człowiek nie może się tak męczyć.

- Ale nasza praca ma przecież swoje uroki - dodał z uśmiechem i oboje wybuchnęli śmiechem.

Przestał się śmiać pierwszy, jakby nie chciał zagłuszać dźwiękującej śmiechu. Spojrzył na nią uważnie i poczuła, że robi się niebezpiecznie. Następne słowa Maxa powinny jednak ją uspokoić, bo zabrzmiały tak obojętnie...

- Pomogę ci wnieść to pudło i pokażę ci gabinet. Masz coś jeszcze?

- Jeszcze tylko dwa takie pudełka, zostały w samochodzie.

- Daj mi kluczyki; przyniosę je, a ty tymczasem rozpakuj to pierwsze.

- Dziękuję.

Nie zamierzała oponować. Powinna się oszczędzać, a lewe ramię miała jeszcze niezupełnie sprawne. I tak już się napracowała przy przeprowadzce. Na razie wszystko wydaje się w porządku, nic jej nie boli, ale skoro Max sam tak naturalnie ofiaruje jej pomoc, nie ma powodu jej odrzucać.

Uniósł pudło z książkami, jakby to było piórko, i poprowadził ją korytarzem. Minęli poczekalnię pomalowaną na jasnopomarańczowy i zielony kolor i doszli do tej części korytarza, gdzie znajdowały się gabinety lekarskie oraz pokoje przyjęć. Wszystkie drzwi były otwarte. Jej gabinet był czwarty z rzędu i wychodził nie na ogród, tylko na parking. Pomieszczenie było niewielkie. Max wyjaśnił, że jest tylko tymczasowe.

- Kiedy Wanda zwolni swój gabinet, przeniesiesz się tam.

- Już urodziła?

- Nie, chociaż powinna urodzić trzy dni temu. Gabinet zwolni dopiero po urodzeniu dziecka, kiedy trochę dojdzie do siebie.

- Jednym słowem, nie powinnam jeszcze kupować ozdobnych dzbanuszków i roślin doniczkowych?

- Nie, ale powiedz Brianowi, jaki kolor lubisz. Trzeba będzie odmalować twój gabinet. A teraz samochód...

- Taki granatowy, stoi dokładnie naprzeciwko schodów - wyjaśniła, podając mu klucze.

Parking przed szpitalem o tej porze był prawie pusty i nie powinno być kłopotów ze znalezieniem samochodu. Max odszedł, pobrzękując kluczykami. Dopiero wtedy przypomniała sobie, że nie powiedziała mu, że złamała kluczyk od bagażnika i będzie musiał otworzyć bagażnik od środka. Może sam na to wpadnie...

Rozejrzała się po swym nowym gabinecie, a potem zabrała do układania książek na półce. „Diagnozowanie”, „Terapia”, „Choroby alergiczne u dzieci i młodzieży”. Właśnie odkładała

kilka tomów na biurko, żeby mieć je pod ręką, kiedy w drzwiach ukazał się Max, dźwigający obie paczki. Pod jego błękitną koszulą prężyły się mięśnie, ale ciężar chyba nie robił na nim większego wrażenia.

- Gdzie postawić te pianino, psze pani? - spytał głosem tragarza. - Każe pani pod palmę czy bliżej okna?

- Sama nie wiem - odparła żartobliwym tonem. - Może pod palmą? Albo nie, lepiej będzie pod zyrandolem, tym kryształowym.

Odwróciła się, ogarnięta nagłym żalem. Max wcale nie ma zamiaru z nią flirtować; dowcipkuje, bo jest uprzejmy, wesoły i chce jej jakoś umilić pierwszy dzień w nowej pracy. To bardzo ładnie z jego strony, więc dlaczego zrobiło jej się przykro? Skąd pomysł, że może być mowa o flircie? Zaraz mu powiem, żeby przestał, a on pomyśli, że zwariowałam albo że jestem starą dziwaczką.

Patrzył na nią pytająco.

- Wolisz sobie teraz wszystko poukładać, czy chcesz obejrzeć oddział? Dziś obchód robi Deborah, zaczyna piętnaście po ósmej; pielęgniarki przyjdą o ósmej, reszta personelu również, wewnętrzne telefony włączają w pół do dziewiątej, ale nasze prywatne linie oczywiście funkcjonują całą dobę.

Wyszedł z pokoju i wskazał pomieszczenie po drugiej stronie korytarza.

- Tu robimy kawę i herbatę, a niedługo będzie prawdziwa kuchnia, bo zamierzamy rozbudować oddział. Uważamy z Briannem, że lekarze powinni jeść lunch poza szpitalem, żeby trochę przewietrzyć głowę. Tutaj, trochę dalej, są...

- Jak widzę, wybrałam zwiedzanie oddziału - zauważyła Paula; podążając za nim.

Obejrzał się i wybuchnął śmiechem.

- Chyba tak... Przepraszam.

- Nie szkodzi; książki mogą poczekać.

- Skoro tak, to mam dla ciebie małą niespodziankę.

- Słucham?

Nie pytając cię o zdanie, przygotowałem ci nowych pacjentów.

- Będę tutaj miała samych nowych pacjentów.

Nie bardzo rozumiała, na czym polega nadzwyczajność sytuacji. Max uśmiechnął się tajemniczo.

- Ci, o których myślę, są inni. To pierwsze czworaczki w naszym mieście!

- Czworaczki!

- Leżą na mojej sali i automatycznie powinny być pod moją opieką, ale rodzice woleliby pediatrę kobietę. Wanda, jak wiesz, nie wróci szybko, a Deborah ma dużo pracy z dziećmi upośledzonymi i bardzo się ucieszyła, kiedy zasugerowałem cię. Oczywiście, jeśli się zgodzisz.

- Czy się zgodzę? Jasne! Czworaczki nie zdarzają się co-dziennie. Będziemy przy porodzie?

- Tak, w towarzystwie tuzina innych lekarzy z naszego szpitala. Nikt nie przepuści takiej okazji. Matka dzieci, Lisa Carey, leży u nas od kilku tygodni i ginekolodzy mają nadzieję przetrzymać ją jak najdłużej. Kończy dopiero siódmy miesiąc. Poznawam was z sobą przy najbliższym obchodzie.

Gawędzili jeszcze trochę o sprawach dotyczących szpitala, a potem nadszedł Brian, tuż za nim dyrektor administracyjny, Susan Clifford, i cały tłum pielęgniarek oraz sekretarek, których imiona i funkcje zaczęły wirować Pauli w głowie. Z ulgą pomyślała, że wkrótce zabierze się do pracy, gdzie liczą się tylko umiejętności i wieloletnie doświadczenie.

Mimo że w amerykańskiej medycynie, podobnie jak na całym świecie, panuje kult specjalizacji i pediatrzy stanowią ściśle wydzieloną zawodową grupę, w bardzo wielu sytuacjach pełnią odniesieniu do dzieci funkcję lekarza ogólnego. Dlatego też Paula, nie ograniczając się do zagadnień związanych z alergią, miewała pacjentów ze zwykłymi chorobami okresu dziecięcego, a nawet wykonywała drobniejsze zabiegi chirurgiczne.

Zdawała sobie sprawę, że jak każdy lekarz musi czuwać nad tym, by rutyna nie przesłoniła jej pacjenta i nie przeszkodziła w odbieraniu nieraz trudno dostrzegalnych sygnałów zwiastujących schorzenie wymagające porady specjalisty, takie jak białaczka, zaburzenia rozwoju czy choroby nowotworowe.

Nie obawiała się nowych, nieznanych warunków. Praca w nowym miejscu i w nowym szpitalu nie może w sposób zasadniczy odbiegać od tego, co znała z Ohio. Nowością może być najwyżej wyciąganie kolców kaktusa z dolnej partii pleców albo ukąszenie pustynnego grzechotnika... Ale od tego pewnie mają pogotowie.

Miała rację, wszystko było tak samo jak w Ohio. Młode matki tak samo przejmowały się pierwszym dzieckiem i z taką samą dumą przywoziły je na pierwszą wizytę; zdrowe półroczne dzieciaki tak samo uśmiechały się do niej, kiedy badała je łagodnymi ruchami rąk, przemądrzałe trzylatki tak samo dociekliwie ustalały „co to jest?”, a sześciolatki z taką samą dumą stwierdzały, że „u pana doktora nigdy nie płaczą”.

Paula uwielbiała pewien rodzaj dziecięcej przenikliwości - „Wlewa mi pani wodę do ucha, żeby przepłukać mózg?” Lubiła nawet naburmuszone dziesięciolatki, które właśnie dochodziły do wniosku, że są za „stare”, by chodzić do lekarza dziecięcego, i z wyraźną ulgą przyjmowały wiadomość, że mamusia może poczekać za drzwiami.

W ciągu pierwszego dnia miała tylko dwa poważne problemy. Jeden czysto medyczny; drugi nie.

Problemem medycznym był czternastoletni pacjent, Sam Hasher, cierpiący na epilepsję. Przyprowadziła go matka; leki jakiś czas temu przepisane przez doktor Hunt, dotychczas skutecznie łagodzące konwulsje, stopniowo przestawały działać.

- Chyba trzeba będzie mu dać coś innego - rzekła pani Hasher z nadzieją w głosie. - Da mi pani doktor receptę, żebym ją mogła wykupić jeszcze dzisiaj?

- To nie takie proste. Najpierw musimy się zastanowić, czy nie doszedł jakiś nowy element, który sprawia, że ataki częściej się powtarzają i mają gwałtowniejszy przebieg.

Zadała kilka pytań dotyczących sposobu odżywiania się pacjenta, ćwiczeń fizycznych i ogólnego stanu zdrowia, a potem zwróciła się wprost do chłopca:

- Nic ci nie przychodzi do głowy, Sam?

Wzruszył ramionami i nie odpowiedział. Paula instynktownie wyczuła, że problem nie jest związany z lekiem i że to nie lekarstwo przestało skutkować. Ale co się dzieje? Czy to młodzięczy bunt przeciw chorobie, czy coś, o czym Sam nie chce mówić w obecności matki?

- No, synku, odpowiedz pani doktor - ponagliła syna pani Hasher. - Nie siedź tak jak niemowa!

- Nie mogę nic powiedzieć, bo nic nie wiem - odezwał się w końcu chłopiec. - Mam te ataki już. Nic się nie zmieniło.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jakoś dziwnie. Melanie Hasher poruszyła się niespokojnie.

- Ja też nie wiem, co się dzieje. Może on po prostu bardzo szybko rośnie i to wszystko dlatego? Jak pani myśli? Zresztą dzisiaj nie mamy zbyt dużo czasu. Idziemy prosto ze szkoły, córka czeka w poczekalni, musimy wrócić do domu, a potem znowu wyjść... Mamy jeszcze dużo rzeczy do zrobienia.

Paula cały czas miała wrażenie, że coś jej umyka.

- Możemy dodać jeszcze jeden lek i brać oba na zmianę - rzekła z namysłem, jednocześnie obserwując matkę i syna.

Pani Hasher jakby odetchnęła z ulgą, a Sam zmarszczył brwi, jakby się nad czymś zastanawiał.

- Co ty na to, Sam? - zapytała Paula.

- W porządku.

Z jego twarzy nie mogła nic wyczytać.

- W takim razie zaraz wypiszę receptę - oznajmiła i sięgnęła po bloczek. - Przez trzy pierwsze dni będziesz brał najmniejszą dawkę odpowiadającą twojemu wiekowi i wadze ciała, a potem

będziemy ją powoli zwiększać, aż do zupełnego ustąpienia ataków. Dobrze?

Spojrzała na siedzące naprzeciwko osoby. Twarz chłopca nie wyrażała nic; twarz matki - tylko zniecierpliwienie.

- Czy to znaczy - odezwał się wreszcie Sam - że mam tu przyjść i pokazać się, zanim mi pani zwiększy tę dawkę?

- O ile pierwsza dawka nie poskutkuje i nie złagodzi ataków.

- Dobra.

Nie wydawał się zadowolony, tak jakby poprawa zdrowia wcale go nie interesowała. Nawet gorzej... Tak jakby...

Może on wcale nie chce, by te ataki ustąpiły? Pytanie pojawiło się w głowie Pauli zupełnie nagle, ale nie wydało się jej niedorzeczne. Może ma jakieś powody? Może za pomocą epilepsji próbuje coś załatwić? Może chodzi mu o zwrócenie na siebie uwagi? Może chce, żeby go jakoś specjalnie traktowali? Może ma złe stopnie i w chorobie szuka usprawiedliwienia?

Z pełną świadomością, że nie uzyska odpowiedzi na te pytania, uniosła wzrok znad recepty.

- W takim razie widzimy się za tydzień, Sam. Pani nie musi przychodzić, jeśli ma pani w tym czasie jakieś sprawy.

- Dobrze. - Kobieta wstała i sięgnęła po receptę. - Sam, idziemy.

Mruknął coś pod nosem i posłusznie ruszył za matką.

Miała tego dnia jeszcze wielu pacjentów, ale przez cały czas nie mogła zapomnieć o Samie. Kiedy o piątej wreszcie skończyła pracę, usiadła za biurkiem i zamyśliła się. Trzeba będzie porozmawiać z chłopcem, kiedy przyjdzie za tydzień, jeśli matka puści go samego. Dzisiaj, w jej obecności, najwyraźniej nie mógł powiedzieć słowa.

A teraz czas do domu. Nagłe poczuła zmęczenie; odgarnęła włosy z karku i potrząsnęła głową, wystawiając twarz na działanie klimatyzacji. Sięgnęła po torebkę. We wnęce na korytarzu ujrzała Maxa i Debprah; stali, pijąc kawę i rozmawiając o pacjentach.

W szpitalu panował spokój; tylko Brian jeszcze przyjmował.

- Do domu? - zapytał Max, gdy ich mijała.

- Jeślijuz nic dla mnie nie ma...

- Nie. Ja też zaraz wychodzę; Deborah ma dyżur.

Paula pożegnała ich ruchem głowy i zniknęła, odprowadzana wzrokiem nowych kolegów. Zeszła na dół i kryjąc się w cieniu, okrążyła budynek.

Deborah musi być bardzo miła. Drobna, okrągłutka, serdeczna. Brian potrafi dobierać współpracowników; zawsze taki był, już w tamtych czasach, kiedy u niego zaczynała. Jest otwarty, budzi zaufanie, i to zarówno małych pacjentów, jak ich rodziców. Ciekawe, jak jest Wanda. Jeszcze się nie spotkały. Pięćleśniarki i reszta personelu wydają się pracowite i sympatyczne.

A doktor Costain? Trudno powiedzieć. Wszystko przez te lustrzane okulary, które miał rano, kiedy go zobaczyła po raz pierwszy. Zanim je zdjął, wyprowadziło ją to z równowagi, bo nie mogła zobaczyć jego wzroku...

Otworzyła drzwiczki samochodu i poczuła falę piekącego powietrza. Kierownica rozgrzana była jak kuchenna płyta. Dzięki Bogu, istnieje klimatyzacja! Przekręciła kluczyk w stacyjce, pewna że wraz ze znajomym warkotem silnika poczuje na sobie chłodny powiew. Niestety, rozległ się tylko cichy trzask, a potem zapadła cisza; nic nie przegnało gęstego upału.

Spróbowała jeszcze raz i jeszcze. I wtedy zrozumiała, na czym polega jej niemiedyczny problem tego dnia: samochód ma rozładowany akumulator.

ROZDZIAŁ DRUGI

- Już z powrotem? - zapytał Max, ujrzawszy Paulę wchodzącą do szpitala przez poczekalnię i kierującą się prosto do telefonu, by wezwać pogotowie drogowe.

Deborah Weir już poszła i stał teraz sam, pijąc wodę z lodem. Machinalnie pomyślała, że potem jeszcze bardziej będzie mu się chciało pić.

- Samochód nie chce zapalić, akumulator wysiadł - wyjaśniła lakonicznie. - Palą się tylko światła postojowe. Nie mam pojęcia dlaczego. Mogłabym przysiąc, że wcale ich nie zapalałam.

Sięgnęła po słuchawkę i wtedy usłyszała głos Maxa.

- Rany! Paula! Przepraszam, to moja wina...

- Twoja wina? Dlaczego?

Nerwowo przejechał dłonią po włosach.

- Nie mogłem znaleźć klucza do bagażnika...

- Tak, zapomniałam ci powiedzieć, że go nie ma.

- Nie wiedziałem, co w środku blokuje zamknięcie bagażnika, dlatego trochę pobuszowałem po samochodzie. Musiałem mimochodem włączyć światła i pewnie takje zostawiłem. Strasznie mi przykro.

Był naprawdę przejęty; jego skrucha rozbroiła Paulę.

- Nie przejmuj się. Nic się nie stało.

Powiedziała to zupełnie szczerze. Było coś uroczego w sposobie, w jaki się usprawiedliwiał, coś... czarującego i bardzo przyjemnego.

- To przede wszystkim moja wina - zapewniła go. - Powin-

nam była cię uprzedzić, że nie mam klucza od bagażnika. Zre-szta i tak wyświadczyłeś mi wielką przysługę.

- To nic wielkiego wnieść komuś dwie paczki. Nie zabrało-by ci to dużo czasu, za to teraz... Co masz zamiar zrobić? Dzwonić po pogotowie drogowe?

- Tak.

- Nie ma sensu, to strasznie długo trwa. Przyjadą najwcześ-niej za godzinę. Posłuchaj, zrobimy to tak: odwiozę cię do domu, odpoczniesz chwilę, a ja pojedę po prostownik. Potem wpadnę po ciebie i zabiorę cię na kolację. Tu niedaleko jest bardzo miła restauracja, tuż obok centrum handlowego. Potem spróbujemy uruchomić silnik i podładujesz akumulator, wracając do domu.

- Nie, Max, szkoda czasu. Mieszkam na pewno bardzo da-leko od ciebie.

- Wcale nie. Brian mówił, że kupiłaś coś niedaleko bulwaru świętego Ksawerego, więc mam po drodze. Mieszkam na wzgó-rzach świętego Izydora, trzy kroki od ciebie. Powiedzmy, pięć minut. No, pięć minut szybkiej jazdy.

Zmrużył oko.

- Ale nie będziesz przekraczał szybkości. - Pogroziła mu palcem. - Wiesz, że to zabronione.

- Wiem, i nie przekraczam. - Zamyślił się nagle. - To dziw-ne, ale jak człowiek skończy czterdziestkę... - Pokręcił głową w zadumie.

Max ma czterdzieści lat, pomyślała. Sama nie wiedziała, dlaczego ją to zaskoczyło, a właściwie raczej zmartwiło. Dla-czego? To proste: czterdziestoletni mężczyzna o wyglądzie Ma-xa musi być żonaty.

- Ale twoja żona pewnie... - zaczęła i urwała, czerwieniąc się. - To znaczy... kolacja...

Zabrzmiało to tak, jakby ustalała jego stan cywilny, i w isto-tie tak było. Z niecierpliwością i perwersyjną ulgą czekała na potwierdzenie, że jest zajęty.

On tymczasem machnął ręką.

- Nie mam żony.

- Nie każdy musi mieć żonę - rzekła zmieszana. - Nawet w naszym pokoleniu...

- Ja miałem. Przez pewien czas, a potem się rozwiodłem.

- Rozumiem.

Ona też była rozwiedziona.

- Czy tak jest lepiej? - zapytał po chwili.

Wytrzymała jego pytające spojrzenie. Nie, tak jest gorzej, pomyślała, ale powiedziała coś zupełnie innego.

- Bałam się, że ktoś będzie na ciebie czekał w domu, a ty w tym czasie pójdziesz ze mną na kolację, bo uważasz, że tak wypada. Nic nie musisz robić, Max, bo nic się nie stało.

- Owszem, stało się, ale nie traćmy już czasu, dobrze? Powiedzmy, że po prostu mam ochotę zaprosić cię na kolację.

To też niczego nie ułatwia, ale nie może mu tego powiedzieć. Musi skryć się za zdawkową uprzejmością. Szczerłość tym razem nie wchodzi w grę.

- To bardzo miło z twojej strony.

Uśmiechnęła się i pomyślała, że taki uśmiech przywoływała zawsze, gdy coś z Chrisem było nie tak w czasie ośmiu lat ich w sumie niezłego małżeństwa. Była przerażona, gdy spostrzegła, że Maxowi zdawkowość nie wystarcza.

- Z takim samym uśmiechem przyjęłabyś ode mnie kilka trucizny, ponieważ tak wypada, prawda? Z czystej uprzejmości?

Uśmiechnął się złośliwie.

- Nie wiedziałam, że to widać.

- Powinnaś więcej ćwiczyć przed lustrem - powiedział i znowu bacznie jej się przyjrzał, a potem roześmiał się głośno.

- A teraz porozmawiajmy spokojnie. Jeśli nie masz ochoty na kolację ze mną albo zaplanowałaś coś innego, po prostu powiedz.

Była teraz zła na siebie. Przed czym ona tak się broni? Skoro nawet nie chce w naturalny sposób przyjąć zaproszenia

na kolację, to znaczy, że coś złego się z nią dzieje i powinna zasięgnąć porady specjalisty.

- Przepraszam, Max - powiedziała tym razem zupełnie szczerze. - Wiem, że zachowałam się dziwnie. Z przyjemnością zjem z tobą kolację i z góry się cieszę na tutejsze specjały. Mam ochotę spróbować czegoś zupełnie nowego.

- To chyba możliwe, bo szefkuchni w restauracji „Kaktus” uwielbia eksperymentować.

Rozmawiając i żartując, podeszli do samochodu Maxa, białego „japończyka” zaparkowanego niedaleko jej luksusowego auta. Pora na jazdę przez miasto nie była dobra i wydostali się z niego dopiero po dwudziestu minutach. Podróż powrotna trwała znacznie dłużej niż poranna droga Pauli do pracy. Przejechali bulwar świętego Ksawerego i zostawili po lewej stronie czerwone wzgórze świętego Izydora.

- Teraz skręć w lewo - rzekła Paula, poznając drogę prowadzącą wprost do jej domu.

Po chwili samochód zahamował pod drzwiami.

- Mam wrócić za jakieś czterdzieści minut?

Skinęła głową, zadowolona z powziętej decyzji. Cieszyła się z tego wieczoru; nareszcie przeżyje coś nowego, coś interesującego, i wcale nie zamierza się tego bać ani uważać, że podejmuje jakieś ryzyko.

Nie przebrała się, uważając, że jej strój doskonałe pasuje do charakteru wieczornego spotkania. Uperfumowała się tylko delikatnie i włożyła biżuterię: cienki złoty łańcuszek i filigranową bransoletkę, którą przed laty dostała od Chrisa. Poprawiła makijaż i zmieniła sandały na pantofle na wysokich obcasach, w których nigdy nie wytrzymałaby kilku godzin w pracy.

Teoretycznie podobne zabiegi nie powinny były zająć jej czterdziestu minut, ale kiedy Max zapukał do jej drzwi, dopiero skończyła przygotowania i piła właśnie niegazowaną wodę, którą wolała od wszelkich innych napojów, z mrożoną herbata włącznie.

Oznacza to, że musi mu otworzyć drzwi i wpuścić go do środka, a nie, jak zamierzała, spotkać się z nim przed domem. Trudno, postanowiła w duchu, niech wchodzi, ale za nic nie zaproponuję mu drinka!

Gdy wszedł, z trudem zniosła jego spojrzenie. Max po prostu pożerał ją wzrokiem.

- Niemożliwe, żebym miała szpinak między zębami, więc nie bardzo rozumiem, dlaczego tak mi się przyglądasz.

- Jestem po prostu zdumiony tym, co ze sobą zrobiłaś - wyjaśnił. - Przysięgnąłbym, że jesteś ubrana tak samo jak w szpitalu, a jednak... są w tym jakieś czary. Wyglądasz bardzo wytwornie.

- Nie ma w tym żadnych czarów - odparła i zaczęła wylizywać na palcach. - To po prostu buty, biżuteria, makijaż, umyte zęby...

- Wytworna i jakże romantyczna - szepnął.

- Przepraszam.

Wcale nie zamierzała go przeproszać, przeciwnie. Tego wieczoru nie miała w programie ani kokieterii, ani flirtu. Pięć lat temu postanowiła, że nie będzie się już w takie rzeczy bawić.

Max nie odezwał się. W milczeniu wyszli z domu i wsiedli do samochodu.

- Chyba nie zapomniałeś o prostowniku? - zapytała, mając nadzieję, że jest mniej roztargniony niż ona, ponieważ mniej ma po temu powodów.

- Jest w bagażniku - odparł i dopiero po dłuższej chwili dodał: - Widzę, że masz straszne kłopoty ze znalezieniem tematu.

Roześmiała się i skinęła głową, a potem powiedziała coś na temat oryginalnego, rdzawego koloru wzgórz świętego Izydora i wtrąciła uwagę o alergiach dziecięcych, co sprawiło, że tym razem oboje roześmiali się niemal równocześnie. Potem on powiedział coś o zachodzie słońca nad górami, a ona mruknęła

parę słów o wpływie pory roku na niektóre uczulenia. Znowu zaległa niezręczna cisza.

- Jeśli dobrze rozumiem - zaczął po chwili Max - wyczerpaliśmy już temat koloru gór, zachodu słońca i alergii wieku dziecięcego...

- Tak, chociaż zachody słońca i góry są tematem mniej kontrowersyjnym niż alergie, sam dobrze o tym wiesz.

- Owszem, to niezwykle skomplikowany temat i muszę cię uprzedzić, że jeśli chodzi o alergie, jestem tradycjonalistą.

- Uprzedzić mnie? Odniosłeś wrażenie, że gonię za medycznymi nowinkami i wyznaję teorię, że wszystko może być alergenem?

- To bardzo wygodna koncepcja. Taki śmietnik, do którego można wszystko wrzucić.

- Nie lubię takich koncepcji, dlatego właśnie staram się poznać tutejsze środowisko, żeby móc wyodrębnić naturalne alergeny. Muszę wiedzieć, tx> może być uważane za potencjalny środek uczulający, a co jest po prostu winą nieprawidłowego odżywiania lub opieki.

Zatrzymali się na świątłach i Max spojrział na nią. Zrozumiała, że zbyt gorąco broniła pozycji, której nikt nie atakował. Max wyraźnie zgadzał się z nią.

Co do reszty, nie mogła go rozgryźć. Co to za facet? Zaczynała rozprawiać na jakieś obojętne tematy, a on w tym czasie obserwował ją i na swój sposób odczytywał jej zachowanie, sposób mówienia i „język ciała”. Nigdy dotychczas o nikim w ten sposób nie myślała, nigdy dotychczas nie miała tak silnego poczucia, że powinna mieć się na baczności... O co w takim razie chodzi i co się dzieje?

Pod koniec kolacji poznała odpowiedź.

Jedzenie bardzo jej smakowało; awokado, chili, kukurydza, fasolka, tortilla i chipsy - wszystko doprawione miejscowymi przyprawami zaspokoiło jej potrzebę zjedzenia „czegoś nowego”. Było jednak coś jeszcze. Najbardziej „nowy” był towarzy-

szący jej mężczyzna. Z rozmowy o alergiach przeszli na temat dzieci - Max był wujkiem, dzieci nie miał - a potem na temat jej sytuacji rodzinnej.

- Jestem jedynaczką - wyznała. - Rodzice chcieli mieć więcej dzieci, ale mama zachorowała, kiedy miałam sześć lat i umarła na raka piersi.

Nie miała zwyczaju mówić o tym komuś, z kim się umówiła po raz pierwszy w życiu, ale cała sytuacja była wyjątkowa. Miała przed sobą kolegę, z którym przyjdzie jej współpracować. Muszą się lepiej poznać... Oczekiwała, że Max zacznie ją wypytywać albo niezręcznie wyrażać współczucie, on jednak nic takiego nie zrobił. Mimo to czuła, że doskonale rozumie, czym choroba matki i jej śmierć mogły być dla sześciolatniej dziewczynki i jak bardzo zaważyły na jej życiu.

- Ojciec ożenił się powtórnie dopiero kiedy skończyłam szesnaście lat, a wtedy Linda, moja wspianiała macocha, była już za stara, żeby mieć dzieci. Dlatego chyba zostałam pediatrą, że tak niewiele wiem o dzieciach.

Ten dowcip powtarzała już nieraz; nie był może zbyt zabawny i nie do końca wyrażał prawdę, ale zawsze lepsze to niż nic. Max zareagował nietypowo. Nie roześmiał się; gwałtownie zaprzeczył.

- Nieprawda! Doskonale znasz się na dzieciach.

- Skąd wiesz?

- Od Briana.

- We wszystkim tak ślepo wierzysz Brianowi?

- Jeśli moje obserwacje to potwierdzają...

Spojrzał na nią i wtedy zrozumiała, co się dzieje. Od samego rana był między nimi jakiś nieuchwytny fluid. Chemia, to ta miłosna chemia, napięcie seksualne, które pamiętała z czasów, kiedy spotykała Chrisa. Przesunęła wzrokiem po palcach Maxa trzymających kieliszek z winem, potem przeniosła wzrok na jego szyję. Przełknął ślinę i zobaczyła, jak jego jabłko Adama lekko się przesuwa.

Czuła, że on interesuje się nią w podobny sposób. Może dlatego tak na mnie działa, że odbieram te jego prądy, pomyślała; przecież normalnie nie reaguję tak na mężczyzn, nawet tak przystojnych jak on. Może nie powinnam pić wina? Max na pewno już się zorientował, to okropne! Widzę przecież, jak na mnie patrzy. Zrozumiał, co się ze mną dzieje, jeszcze zanim ja sama to spostrzegłam. Dlaczego nie uważałam... Trzeba było bardziej nad sobą panować!

Ich rozmowa wyraźnie nabrała charakteru flirtu i Paula słyszała teraz swój pełen kokieterii głos. Czuła, że jest czerwona, i prawie widziała błysk swoich oczu. Miała świadomość, że... prowokuje Maxa.

Co trafiało na bardzo podatny grunt. Patrzył na nią tak, jakby wzrokiem pieścił jej twarz, jego głos stał się cichy i nieco schrypnięty. Nagle poczuła, że fala trwogi podpływa jej do serca i ogarnia całe ciało.

- Proszę, przestań!

Powiedziała to tak nieoczekiwanie, że spojrział na nią zdumiony.

- Co mam przestać?

Wiedział, doskonale wiedział, o co jej chodzi; nie mógł tylko uwierzyć, że można to tak po prostu powiedzieć.

- Przestań mnie uwodzić!

- Pod warunkiem, że ty zrobisz to samo. - Uśmiechnął się, nie wierząc, że Paula mówi poważnie.

Nic dziwnego, po takim wstępie!

- Co proponujesz w zamian? - zapytał po chwili.

- Nic.

Spoważniała, rumieniec zniknął z jej twarzy, oczy zgasły.

- Mówię serio. Uważam, że to... niewłaściwe.

Max lekko uniósł głowę.

- Miałem wrażenie, że ci się to dość podoba. Takie przerzucanie piłeczki, coś jakby mecz tenisowy między dobranymi partnerami.

Pochylił głowę i Paula dostrzegła złote smugi na jego włosach.

- Podobało mi się - przyznała niechętnie - ale doszłam do wniosku, że... nie ma co narażać naszych koleżeńskich stosunków na ryzyko z powodu... jakiegoś...

Nie bardzo wiedziała, jak wybrnąć.

- Romansu? - podpowiedział.

- Bez przesady! - zaprotestowała stanowczo. - Od wspólnej kolacji do... romansu droga jest jeszcze dość daleka.

- Możesz mi wierzyć albo nie - rzekł równie stanowczo - ale nie miałem na myśli rozwiązania aż tak typowego, jak sugerujesz. Po prostu świetnie się czułem w twojej obecności, i to od samego początku, w szpitalu też. Podobał mi się szelest twojej spódnicy, kiedy krążyłaś między pacjentami, dźwięk twojego głosu, kiedy rozmawiałaś z Brianem przy kawie, aja pisałem coś u siebie, sposób, w jaki zakładasz stetoskop, lekko odsuwając włosy... - Rozłożył dłonie. - Skoro jednak uważasz, że to cię obraża...

- Nie, nie obraża, ja po prostu uważam, że to...

- ...niewłaściwe - dokończył za nią. - W takim razie dobrze, że mi to powiedziałaś. Nie jestem typem mężczyzny, który...

- Wiem - powiedziała szybko. - Ja wcale nie myślałam, że jesteś kobieciarzem.

- Co za okropne słowo!

- Owszem. Lepiej może w takim razie zmienimy temat. I zapomnijmy o całej tej rozmowie, dobrze?

- I o tamtej też? O tej „flirtującej”?

- Tak. Tak jakby wcale tego nie było.

Zmienił temat tak swobodnie i zręcznie, że dalsza rozmowa dotycząca ostatnich piłkarskich rozgrywek drużyny uniwersyteckiej wydała się zupełnie naturalna. Paula była mu za to wdzięczna i musiała w duchu przyznać, że jeszcze nigdy z nikim tak dobrze jej się nie gawędziło o sprawach, o których

nie miała pojęcia. Przede wszystkim jednak temat był bezpieczny i mogła spokojnie odetchnąć.

Max nie zaproponował deseru.

W kilka minut później robił już to, co było prawdziwym powodem ich spotkania. Stali przy samochodzie Pauli przed szpitalem, usiłując ratować wyczerpany akumulator. Po kilku próbach silnik zaskoczył. Czas był najwyższy; Paula miała już dosyć bliskości Maxa, jego niemal dotykających ją ramion i złoty włosów opadających mu na czoło.

- Niech tak pochodzi kilka minut - powiedział, pochylając się ku niej. - Potrzyмай go na gazie, powinno być dobrze.

- Nie musisz tu ze mną czekać - odparła i odsunęła od niego głowę. - Dam sobie radę, dziękuję.

- A jeśli po drodze silnik znowu odmówi ci posłuszeństwa? Może byłoby lepiej, gdybym za tobą jechał, o ile oczywiście widok moich świateł w lusterku nie będzie cię denerwował?

- Dobrze - ustąpiła. - Jedź za mną do domu.

Zabrzmiało to dosyć dwuznacznie, ale fakt, że Max tego nie zauważył, upewniła ją, że ich „flirt” definitywnie dobiegł końca. Była tym mniej zachwycona niż powinna, natomiast w całej pełni doceniła fakt, że Max nareszcie się wyprostował i odszedł od okna jej samochodu, by wsiąść do swojego.

Jechał za nią tylko do bulwaru świętego Ksawerego, a potem dał pożegnalny sygnał klaksonem i skręcił w swoją stronę. Bezpiecznie dojechała do domu, nie przestając myśleć o tym, co zaszło. Dochodziła już dziewiąta, czyli było znacznie później, niż myślała.

Włączyła telewizor, by usłyszeć ludzki głos; na jednym kanale podawano właśnie wieczorne wiadomości, a na drugim wyświetlano jakiś film. Zostawiła włączony telewizor i poszła do kuchni, by zaparzyć ziołową herbatę. Ogarnęło ją zmęczenie; była na nogach od szóstej rano. Właściwie powinna się położyć, lecz wiedziała, że nie zaśnie. Cały ten dzień, i doktor Costain - wszystko to wyprowadziło ją z równowagi i musi teraz trochę

się uspokoić, by spojrzeć na wydarzenia kilku ostatnich godzin z odpowiedniej perspektywy i dystansu.

Mogłabym zadzwonić do Chrisa, pomyślała, ale natychmiast odrzuciła ten pomysł.

W Nowym Jorku dochodzi już co prawda północ, ale jej były mąż na pewno nie śpi. Wykluczone. Zapewne gra w teatrze albo je kolację z przyjaciółmi; nie wróci do domu przed czwartą rano...

To właśnie między innymi jego sposób życia uniemożliwił im małżeństwo. Paula wstawała wcześniej, Chris - bardzo późno. Ona uczyła się bez przerwy, siedząc samotnie w domu, a on bez przerwy gdzieś latał na spotkania z ludźmi z aktorsko-piosenkarskiej branży. Ona musiała zostać w Ohio, by skończyć studia, on musiał wyjechać do Nowego Jorku, bo tylko tam zdarzają się artystom szczęśliwe przypadki. Potem ona miała praktyki, robiła specjalizację, a on... a on szukał szczęścia w Nowym Jorku.

Przez pewien czas udało im się utrzymać małżeństwo na odległość. Codziennie rozmawiali przez telefon, wszystkie weekendy spędzali razem; Paula nieraz leciała do Nowego Jorku tylko na jedną noc. Chris z dumą pokazywał jej swe gigantyczne rachunki telefoniczne; w ciągu jednego miesiąca potrafił dzwonić do Ohio trzydzieści sześć razy! Należało to docenić.

Potem wspólne weekendy stały się coraz rzadsze, rachunki telefoniczne zmalały. Drogi Pauli i Chrisa powoli się rozchodziły. Nie czuli do siebie żalu, łączyła ich sympatia i interesowali się swoim życiem jak starzy przyjaciele, którym leży na sercu wzajemny los.

Długo żadne nie odważyło się wspomnieć o rozwodzie. Z ulgą powitali dzień, kiedy wreszcie temat sam jakoś wypłynął. Zgodnie uznali, że byli za młodzi na poważny związek, że mieli zbyt różne zainteresowania i charaktery i że nie od razu to zrozumieli. Paradoksalnie, zaraz po rozstaniu dzwoniли do siebie jeszcze częściej i jeszcze serdeczniej witali się przy spotkaniach.

A propos, kiedy właściwie widziała Chrisa po raz ostatni? Cztery lata temu.

Zdumiała ją to bardziej niż fakt, że od ich rozvodu minęło lat siedem. Już cztery lata nie widziała Chrisa! Jak to możliwe? Postanowiła, że zadzwoni do niego w niedzielę. Jakoś obliczy czas i trafi na moment, gdy Chris się budzi. Opowie mu, jak się urządziła w nowym miejscu.

Nie wspomni mu jednak o doktorze Costainie, nawet jeśli Chris swym zwyczajem zapyta ją o mężczyzn w jej życiu... Może w takim razie lepiej wcale do niego nie dzwonić.

Nie miała ochoty wysłuchiwać jego aluzji. Wiedziała, że Chris ma dobre chęci, ale nie zamierzała po raz kolejny słuchać jego porad i zapewnień. Chris się myli! To nie jest tak, że mężczyzna takich rzeczy nie zauważa. Może, jeśli sprawa dotyczy kochającego się małżeństwa, może w takim przypadku... to nawet umacnia i wzbogaca związek, ale kiedy spotyka się kogoś nowego...

Przecież każdy mężczyzna to zauważy, każdego mężczyznę musi to zniechęcić, nikt nie będzie miał na mnie ochoty, kiedy się dowie, że nie mam jednej piersi!

Kiedy wreszcie zasnęła, przez całą noc męczyły ją te same koszmarne sny, które od pięciu lat regularnie się powtarzały.

Pięć lat upłynęło od tamtego strasznego listopadowego dnia, kiedy pod prysznicem wyczuła w lewej piersi twardy guzek. Nie badała piersi od kilku miesięcy i nie miała na swą obronę żadnego usprawiedliwienia. Jak ona, lekarka, osoba świadoma, że znajduje się w grupie podwyższonego ryzyka, mogła zaniedbać tak podstawowe badania? Przecież matka umarła na raka piersi w trzydziestym pierwszym roku życia... Jak mogła nie badać się co miesiąc, w odpowiednim dniu cyklu?

Rozwód, stres, miała wiele usprawiedliwień, ale prawdziwy powód był tylko jeden: zapomniała albo badała się niedbale, nie zwracając uwagi na cykl hormonalny. Może też podświadomie odsuwała od siebie wszelką wiedzę na ten temat, może jej we-

wewnętrzny opór był zbyt wielki, bo spowodowała go śmierć matki, śmierć, z którą nigdy się nie pogodziła...

Nie tracąc czasu na analizowanie swych reakcji, natychmiast zadzwoniła do lekarza i umówiła się na wizytę. Potem wypadki potoczyły się jak lawina: biopsja, mastektomia i chemioterapia. Po operacji zrezygnowała z usług chirurgii plastycznej; nie chciała mieć silikonowej piersi.

- Już sam nowotwór był obcym ciałem, które wtargnęło w moje własne. Nie chcę teraz mieć Czegoś równie obcego, tym razem z własnej woli - wyjaśniła Lindzie, swojej macosze, która odwiedziła ją w szpitalu.

Linda doskonale ją rozumiała.

- Zawsze wybierałaś to, co naturalne, i nie znosiłaś tego, co sztuczne. Doskonale wiem, o co ci chodzi. Pamiętam, że nigdy nie chciałaś sobie przekłuć uszu, chociaż wszystkie twoje koleżanki to zrobiły, i nawet zrobiła to twoja macocha!

Paula uśmiechnęła się słabo.

- Miałaś przepiękne kolczyki, pamiętam, ale ja nigdy bym się na coś takiego nie zdecydowała. A co do piersi... Zawsze były małe, może brak jednej nie będzie tak bardzo rzucał się w oczy...

Wymieniły niewesołe uśmiechy i już więcej nie rozmawiały o operacji plastycznej. Paula nigdy nie żałowała swej decyzji; zresztą zawsze może zmienić zdanie.

Coś jednak po operacji się zmieniło, coś jakby zachwiało jej seksualną tożsamością; straciła zaufanie do swej kobiecości i wiedziała, że sztucznie dorobiona pierś, nawet piękna i zgrabna, niewiele pod tym względem zmieni.

Miała za sobą osiem lat małżeństwa całkowicie zadowolającego pod względem seksualnym, a teraz nastąpił koniec. Tak jakby jej życie rozpadło się na dwie części: jedna jego połowa to były lata spędzone z Chrisem, druga - pięć lat, które nastąpiły po operacji: okres samotności wypełniony pracą, przestrzeganiem diety i odpowiedniego sposobu życia.

Koszmarne sny zawsze były wariacjami na ten sam temat. Paula najawie starała się unikać myślenia o tym, co ją spotkało i trzeźwego oceniania szans, rosnących, jak wiedziała, po upływie pięciu lat od operacji. Robiła, co należało, odżywiała się odpowiednio i unikała zbytniego wysiłku, robiła, co kazali lekarze i co podpowiadała jej własna wiedza i rozsądek. Podświadomość jednak nie znała granic; we śnie hulała bezkarnie, podsuwając myśli o utracie tego, co jeszcze pozostało.

Następnego dnia obudziła się z zupełnie nową myślą: nie bała się już tego, że straci drugą pierś, to nie było najważniejsze. Najważniejsze było to, że może utracić szansę na miłość, na posiadanie dziecka.

Przypomniała sobie Maxa i pomyślała, że gdyby nie zachowała się tak głupio i tak histerycznie, gdyby tak bardzo nie bała się ryzyka, to może... jeszcze kiedyś spotkałoby ją coś dobrego.

ROZDZIAŁ TRZECI

Obawiała się, że spotkanie z Maxem okaże się tego dnia trudne. Ku jej ogromnemu zaskoczeniu wcale tak nie było. Zasluga nie należała do niej; to Max zachował się wspaniale.

Do szpitala przyjechała bardzo wcześnie, wmawiając sobie, że robi to dlatego, by poznać nowe otoczenie. Była to tylko częściowo prawda. W rzeczywistości chciała lepiej przygotować się do spotkania z Maxem; chciała, by doktor Costain zastał ją zaaferowaną i zajętą, pogrążoną w pracy.

Kiedy nadszedł, stała, takjak to sobie wymarzyła, w kąci, gdzie przygotowywano kawę, i przeglądała listę pacjentów, których miała przyjąć przed południem. Max skończył właśnie obchód, przemknął przed pokojem pielęgniarek, rzucił „cześć” Melissie i przywitawszy Paulę, zdawkowo spytał o samochód. Gdy odrzekła, że wszystko w porządku, zniknął w swym gabinecie. Po chwili wyszedł, a właściwie wysunął tylko głowę.

- Chciałbym potem porozmawiać z tobą o pewnym pacjencie - powiedział. - Wpadnij, jeśli będziesz miała wolną chwilę. Uśmiechnęła się do niego.

- Bardzo chętnie.

- Może po lunchu?

- Znakomicie.

Właśnie tak. Swobodnie, po przyjacielsku, bez żadnych dwuznaczności. Poczwała ogromną ulgę; znowu ogarnęło ją poczucie bezpieczeństwa i radość, że przeniosła się do Arizony i jest teraz właśnie tutaj. Życie jest piękne!

Matkajej pierwszej pacjentki tego ranka też robiła wrażenie

osoby zadowolonej z życia, mimo że ośmioletnia Elizabeth, którą przyprowadziła z sobą, była w nieco gorszym nastroju.

- Od niedzieli wieczór wymiotuje i ma rozwolnienie - rzekła kobieta. - Myślę, że to tylko coś z żołądkiem, ale ponieważ w piątek mam rodzić, wolę ją pani pokazać.

Callie Herbert z radosnym uśmiechem poklepała się po wielkim brzuchu.

- Biedactwo - zwróciła się Paula do bladej, wymęczonej dziewczynki. - Pewnie chciałabyś być zdrowa, kiedy urodzi się twój... twoja...

- ..twój braciszek - odpowiedziała pani Herbert. - Już wiemy, że to chłopak, na imię będzie miał Thomas.

- ...kiedy urodzi się Thomas.

- Tak - szepnęła Elizabeth.

- Dziś w nocy prawie nie spała - dodała matka. - Wiem, że to pewnie nic groźnego, ale zlekłam się, że może się odwodnić.

Paula zadała kilka pytań dotyczących objawów i okoliczności towarzyszących ich występowaniu, a potem zbadała dziewczynkę. Wszystko wskazywało na to, że matka ma rację i że jest to tylko niezbyt groźne zatrucie żołądkowe, które wkrótce samo minie.

- Powinna zachować dietę i dużo pić, najlepiej lekko osoloną wodę. Podawała już jej pani płyny elektrolityczne?

- Nie - skrzywiła się pani Herbert. - Kiedyś mieliśmy coś takiego w domu, ale już nie mamy. Nie chciałam wychodzić do sklepu, żeby małej nie zostawiać samej, a mój mąż wróci dopiero jutro. Teraz po drodze wstąpimy do apteki.

- Kiedy Elizabeth poczuje się lepiej, trzebaję będzie dawać dobre rzeczy do jedzenia, ale unikać tłuszczyw i słodyczy. Będzie musiała w dalszym ciągu dużo pić.

- Wiem, obie musimy przestrzegać diety.

Paula pogłaskała dziewczynkę po lekko zaróżowionej już buzi i pożegnała się z jej matką.

JESZCZE ZAŚWIECI SŁOŃCE

- Na pewno nie może się już pani doczekać drugiego dziecka...

- Miałam tyle problemów, zanim zaszłam w ciążę, że teraz mogę już czekać, ile trzeba. Przestałam się śpieszyć.

Ciekawe, pomyślała Paula, wychodząc z pokoju przyjęć, dlaczego miała problemy z zajściem w ciążę? W karcie małej Elizabeth nie ma żadnej wzmianki o problemach zdrowotnych jej matki, a zatem komplikacje musiały się pojawić dopiero później. Pani Herbert miała około czterdziestu lat; sposób, w jaki głaskała brzuch, świadczył, że Thomas jest czule oczekiwanym dzieckiem.

Paula najczęściej widywała właśnie takie sytuacje. Może dlatego nie stykała się z nie chcianymi dziećmi, że głównie stykała się z ludźmi zamożniejszymi, dla których przyjście dziecka na świat nie stanowiło materialnego problemu... Po lunchu dowiedziała się, że ludzie mogą mieć jeszcze inne powody do niechętnego stosunku do własnych dzieci.

- Pacjent, o którym" ci wspominałem - zaczął Max, kiedy usiadła w jego gabinecie - ma cztery lata. To jedno z takich dzieci, na których widok serce podchodzi ci do gardła. Takie brzydkie kaczątko.

- Jak to, brzydkie kaczątko?

- No wiesz, takie dziecko, którego żadnej matce nie przyjdzie do głowy jakoś ładnie ubrać czy przyozdobić. Taka mała pokraka, drobny, niezgrabny, nieśmiały, patrzy spode łba, uszy ma odstające, zęby krzywe...

- Jednym słowem, słodki i kochany - rzekła Paula.

Nie bardzo rozumiała, o co Maxowi chodzi.

- Ja też tak myślę, jego matka chyba również, ale on jest dla niej takim bolesnym, potwornym rozczarowaniem... To się rzuca w oczy. Jest jedynakiem, urodził się bardzo późno. Oboje rodzice pracują w handlu, są ludźmi konkretnymi i żądają konkretnych wyjaśnień.

- Jakich wyjaśnień?

- Wszystkich. Chcą znać powody najdrobniejszych niepowodzeń Mickeya. Dlaczego mówi tak niewyraźnie i jest mniej zręczny niż inni, dlaczego boi się psów, klaunów i hałasów, dlaczego strasznie się nudzi, kiedy matka zabiera go do pracy.

- Każde dziecko umarłoby z nudów.

- Oczywiście, ale ona tego nie rozumie. Teraz wymyśliła, że mały ma alergię.

- Jakąś... konkretną?

- Nie, uważa raczej, że syna coś uczula, ale nie jest w stanie dokładnie zaobserwować, co to takiego.

- A ty nie bardzo w to wierzysz.

- Właśnie. Powinno się zastosować dietę eliminującą poszczególne produkty, ale ja tego za nią zrobić nie mogę. Ona sama też nie może, bo stołują się głównie w barach szybkiej obsługi, a jedząc hamburgery i pizze trudno zauważyć, co dzieciakowi szkodzi. Ona po prostu żąda natychmiastowej skutecznej terapii. Najlepiej, żebyśmy go zaszczepili na wszystko naraz, i po kłopotcie. Zawsze mam ochotę jej powiedzieć, że niktjeszcze nie wymyślił szczepionki na życie.

- Mam wrażenie, że masz niedobry stosunek do matki pacjenta - oświadczyła poważnie i zaraz się roześmiała.

- I wcale nie zamierzam tego ukrywać, pani doktor.

- A co ja mam z tym wspólnego?

- Przecież znasz się na alergiach... - powiedział z nadzieją w głosie.

- Owszem...

- Sama widzisz, nie będę musiał zastrzelić tej baby.

- Nie masz dobrego stosunku do kobiet...

- Może, ale jestem elastyczny, łatwo zmieniam zdanie.

- A poważnie?

- Poważnie to chciałem cię prosić, żebyś była obecna przy naszej dzisiejszej rozmowie. Po prostu udzielisz mi konsultacji. Zagrasz rolę świeżo sprowadzonego eksperta, a ja będę udawał starego rodzinnego lekarza, który potrzebuje porady specjalisty.

Znam tego chłopca od urodzenia, może razem przekonamy matkę, żeby zmieniła do niego stosunek i chociaż trochę w niego uwierzyła.

O trzeciej po południu Dorinda i Mickey Walters przybyli na wizytę i kobieta już w drzwiach rozpoczęła swój nie kończący się monolog. Paula wzięła na siebie pierwsze uderzenie, a Max przykucnął z chłopcem przy koszu z zabawkami. Mickey był rzeczywiście drobniutki i zalękniony, miał sterczące uszy i rudą czuprynę. Jego biała, delikatna skóra zupełnie nie była dostosowana do życia w upalnym klimacie Arizony.

Po kilku minutach Paula usłyszała głos Maxa.

- Km chciałbyś zostać, kiedy dorośniesz, Mickey?
- Gitarzystą...
- Gitarzystą? Wspaniale!

Dorinda Walters spojrzała na Paulę tak, jakby chciała powiedzieć: „Widzi pani, mówiłam, że on jest ciężko chory”.

- Skąd ci do głowy przychodzi podobne głupoty! - zwróciła się do syna i wzruszyła ramionami.

Chłopiec nie odezwał się, tylko kilka razy machinalnie poruszył trzymany w rękę samochodzikiem, jakby nie bardzo wiedział, co robi. Max zapytał go, jak się czuje.

- Mam katar i stale pieką mnie oczy - szepnął Mickey.

- No właśnie! - krzyknęła triumfalnie matka. - Nie mówiłam? Niech pani na niego spojrzy, wyciera nos ręką! Nie znoszę tego! Jeśli znowu się zaziębi, chyba go zabiję! Zawsze mu powtarzam, żeby się bawił na środku pokoju, ale on nie, woli chować się po kątach! A to wejdzie pod łóżko, a to pod stół albo pod biurko, i wszędzie zostawia te swoje mokre chustki. Nie raz nawet na biurku, i jak przychodzi klient, to je widzi. Obrzydliwe!

Scena trwała jeszcze kilka minut, a potem Max zaproponował, by pielęgniarka zmierzyła i zważyła chłopca.

- A my z doktor Nichols na chwilę wyjdziemy i omówimy dalsze leczenie.

- Właśnie na to czekam! Najakieś konkretne leczenie!

Kiedy znaleźli się w gabinecie, Paula spojrzała na Maxa.

- Może to wszystko dlatego, że on dużo płacze? Stąd ten czerwony nos, załzawione oczy i chrypka. Może on po prostu stale w ukryciu popłakuje?

Max rozłożył ręce.

- Myślisz, że ona się zgodzi na taką diagnozę?

- Skądże!

- Zresztą podejrzewam coś jeszcze. Słyszałaś, jak mówiła, że chłopiec bawi się pod meblami i w kątach. Nawet w najlepiej utrzymanym mieszkaniu tam właśnie zbiera się najwięcej kurzu.

- A on stale pociąga nosem i wszystko wdycha.

- Możemy zatem założyć, że uczuła go coś, co znajduje się w kurzu. Testy nie zawsze to wykazują.

- Musimy również ustalić, dlaczego dziecko chowa się po kątach, zamiast się bawić na środku kuchni albo pokoju.

- Odpowiedź właściwie znamy. To dziecko na otwartej przestrzeni czuje się obserwowane i zagrożone, dlatego się chowa.

- Wiesz, co myślę? Widzę go po raz pierwszy, ale...

- Tak?

- Coś trzeba zrobić, ale nie wiem, czy nam się uda. Jego choroba polega na braku akceptacji ze strony matki, a zmiana takiego stanu rzeczy leży poza zasięgiem naszych możliwości. Możliwej oczywiście poradzić, żeby zmieniła swój stosunek do syna, ale nie wiązałabym z tym wielkich nadziei. Raczej posłałabym ich do psychologa. Trzeba jej również zasugerować, żeby mu zmieniła dietę i zrobiła coś, żeby go wyciągnąć z tych zamkniętych kątów...

- Poradzić jej, mówisz... - powtórzył Max. - To trudne, ale to mój obowiązek. Ta kobieta powinna zrozumieć, jak bardzo jej stosunek do chłopca niszczy go i okalecza, ale czy zrozumie, to już inny problem. Trochę to wykracza poza medycynę, prawda? Tak to już bywa, że nieraz problem czysto medyczny jest jedynie wierzchołkiem góry lodowej.

- Wczoraj też miałam coś takiego.

Paula opowiedziała mu o Samie, chłopcu cierpiącemu na epilepsję.

- Mam wrażenie, że ataki są mu potrzebne, że ten chłopiec chce za pomocą choroby coś załatwić.

- Może nawet je celowo wywoływać - dodał Max. - Pamiętam, mieliśmy w klasie kolegę, który robił takie numery. Przestał dopiero wtedy, kiedy rodzice i nauczyciel wytłumaczyli mu, że to bardzo niebezpieczne. Kładł się na podłodze i tak długo wpatrywał się w jarzeniówki w stołówce, aż dostawał drgawek. Mieliśmy po dziesięć lat i uważaliśmy, że to bardzo fajne.

- Może je celowo wywoływać... - powtórzyła do siebie Paula. - Dziękuję, Max, będę to miała na uwadze, kiedy się spotkam z Samem.

- Ja również dziękuję, doktor Nichols. - Max uśmiechnął się z wdzięcznością. - Bardzo mi pani pomogła, zajmując się Dorindą Walters. Dzięki temu mogłem po raz pierwszy porozmawiać sobie z Mickeyem. Chce być gitarzystą! To bardzo wrażliwy i bardzo nieszczęśliwy chłopiec. Skieruję oboje do psychologa i zobaczymy, co z tego wyniknie. Tak czy inaczej, dzięki za pomoc,

- Miło mi, że mogłam się przydać.

Było jej naprawdę miło, i to z dwóch powodów. Pomogła Maxowi, co było bardzo przyjemne, a jednocześnie zobaczyła, jak doktor Costain daje sobie radę z małymi pacjentami, co z kolei było bardzo pouczające. Widok Maxa na podłodze obok pudła z zabawkami, bawiącego się z małym rudzielcem, podniósł ją na duchu.

Każdy potrafi bawić się ze ślicznym, uśmiechniętym i wystrojonym dzieckiem, to żadna sztuka. Ale otworzyć serce przed takim brzydkim kaczątkiem, któremu cieknie z nosa i zabawki wypadają z rączek, to już wymaga... wielkiego serca.

Przez cały następny tydzień stykała się z Maxem codziennie. Widywała go przy pracy, konsultowała się z nim, zasięgała jego

porady, odpowiadała na jego pytania i... coraz bardziej go podziwiała.

Zachowywał się wobec niej zupełnie inaczej niż owego

którego podłoga tłumiła kroki jej lekkich pantofelków. Callie Herbert nie usłyszała, kiedy Paula otworzyła drzwi.

Cała była pochłonięta karmieniem niemowlęcia; miała czarna główka leżąca wtulona w jej lewą pierś, napęczniałą macierzyństwem i mlekiem. Paula przez chwilę stała, wpatrując się w milczeniu w obraz, jaki miała przed sobą. Cudowny, urzekający widok! Callie uśmiechała się do dziecka, różowa i ciepła w ślicznej koszuli nocnej, zakupionej na pewno specjalnie na tę właśnie okazję.

Coś jednak było nie tak; coś mąciło idealny obraz, coś jakby zaburzało harmonię kompozycji. Lewa pierś Callie była krągła i różowa, napęczniała mlekiem, prawa natomiast... Po prawej stronie, pod koszulą rysował się regularny zarys piersi, bez obrzmienia, jakby... innej, sztucznej.

Paula wiedziała, że kobiety po amputacji piersi czasem zachodzą w ciążę, rodzą i karmią dzieci, ale nigdy, w ciągu wielu lat praktyki, nie widziała czegoś podobnego. Cicho wycofała się i poszła w stronę pokoju pielęgniarek. Była zaskoczona i oszołomiona, tak jakby nagle zupełnie jasno ujrzała swój własny problem. Serce biło jej jak szalone, dłonie zwiłgotniały.

Uspokój się, opanuj. Nie masz przecież piersi od pięciu lat... Skąd ten nagły wybuch? Przecież wszystko masz przemyślane, nic nowego nie zaszło. Wiedziała, że to nieprawda, zaszło coś nowego. Poznała Maxa Costaina i to był jej problem.

Wiedziała to, zanim zobaczyła go w pokoju niemowląt. Stał i badał jakiegoś noworodka. Musiał nadejść w czasie, kiedy Paula stała jak sparaliżowana w drzwiach pokoju Callie. Poczowała, jak oblewają zimny pot.

Max jeszcze jej nie widział. Pochylony był nad dzieckiem, maleńką dziewczynką; na jej plastikowym łóżeczku wisiała różowa kartka z podstawowymi informacjami. Max uważnie osłuchiwał serduszko malutkiej pacjentki, obejrzał główkę, sprawdził reakcje, przyjrzał się miejscu po pępowninie. Potem zagna-

czył na karcie numer pokoju matki i dopiero wtedy odwrócił się, i... spostrzegł Paulę.

Z jego twarzy natychmiast zniknął wyraz zaabsorbowania i pojawił się uśmiech. Odpowiedziała mu chłodnym, uprzejmym skinieniem głowy.

- Nie, nie - zaprotestował z lekkim grymasem. - Niedobrze, za mało trenujesz.

- Co?

- Miałaś trenować przed lustrem odpowiednie miny, żeby twój uśmiech wyglądał szczerze i przekonująco.

Przypomniała sobie, co jej mówił pierwszego dnia.

- Ja...

- Co się dzieje, Paula?

Wyprowadził ją z sali i skierował w stronę swego gabinetu.

- Nic.

- Bardzo szkoda.

- Co masz na myśli?

- Martwi mnie, że musisz uśmiechać się tak sztucznie, bo nie czujesz prawdziwej radości na mój widok.

- Ależ ja się bardzo cieszę, że cię widzę! Naprawdę.

Wjej głosie zabrzmiała szczerłość. Naprawdę się cieszyła i to nie tylko z tego, że go widzi, ale również z tego, że mogą tak sobie razem iść korytarzem. Max objął ją lekko.

- A tak w ogóle, co słyhać? Bardzo jesteś zmęczona?

Była mu wdzięczna za to pytanie, bo mogła na nie odpowiedzieć bez obawy, że sprowadzi na siebie jakieś niebezpieczeństwo. Tydzień był ciężki i mogła przytaknąć z całym przekonaniem.

- Tak, bardzo.

Objął ją mocniej. Poczuła, że drugą ręką delikatnie gładzi ją po włosach, a potem kładzie jej głowę na swoje ramię. Nie odsunęła się; trwała tak przez chwilę, rozkoszując się jego bliskością.

- Max...

Czuła się słaba i szczęśliwa; było jej dobrze i bardzo się bała.

Przeszedł ją lekki dreszcz. Jeszcze raz powtórzyła jego imię, nie wiedząc, czy za pomocą tego zaklęcia pragnie przerwać całą scenę, czy przeciwnie - przedłużyć ją w nieskończoność. Max wargami dotknął jej włosów.

- Trzymaj się - szepnął i wypuścił ją z ramion. - Masz teraz chwilę czasu?

- Tak, teraz tak. Mój pacjent właśnie pije śniadanie u mamy. Czy chcesz mi pokazać tę panią od czworaczków?

- Tak, to dobry moment. Nie wiemy, kiedy dokładnie będzie rodzić, ale akcja porodowa może się zacząć w każdej chwili.

- W takim razie...

- W takich przypadkach istotny jest każdy dzień, trzeba ją przetrzymać jak najdłużej. To znacznie zwiększa szanse całej czwórki.

- I matki.

- Oczywiście, ale ona jest w świetnej formie. Zresztą sama za chwilę zobaczysz.

Weszli na oddział położniczy i otworzyli drzwi do dwuosobowego pokoju, gdzie leżała przystojna blondynka. Miała około trzydziestu lat, była delikatnej budowy, a gigantycznych rozmiarów brzuch wyglądał jak sztuczna budowla wzniesiona nad jej drobną postacią. Lisa Carey nie mogła sama siadać i unosiła się jedynie przy pomocy mechanicznej konstrukcji z bloczków i linek.

Obok łóżka pacjentki siedziała pielęgniarka i właśnie mierzyła jej ciśnienie. Lisa Carey skinęła głową wchodzącym lekarzom i zwróciła się do pielęgniarki:

- Ile mamy dzisiaj?

- Sto dwadzieścia na osiemdziesiąt - odparła Althea Jackson i pacjentka uśmiechnęła się z satysfakcją.

- Bardzo dobrze - potwierdził Max.

- Jeszcze rok temu takie pomiary to była dla mnie czarna magia - rzekła Lisa - ale teraz... Jak stąd wyjdę, chyba pójdę na medycynę!

Wszyscy się roześmiali.

- Jak się pani czuje? - zapytał potem Max.

- Ja się nie czuję, doktorze, ja się nudzę, potwornie nudzę!

- Wyobrażam sobie.

- Trochę się też boję. Nie za bardzo, ale zawsze. Dzięki za odwiedzinę, ale widzę tu jakąś nową twarz.

- To jest nasza nowa pani doktor, Paula Nichols. Będzie ze mną dzieliła trudy związane z pani czwórteczką.

- I będzie też przy porodzie?

- Bardzo bym chciała - wtrąciła Paula.

- Zapowiadają się niezłe tłumy...

Rozmawiali jeszcze przez kilka minut, a kiedy wniesiono śniadanie dla pacjentki, lekarze pożegnali się i wyszli.

- Czy ona leczyła się na bezpłodność? - spytała Paula, gdy znowu znaleźli się na oddziale noworodków.

- Tak, ale tylko przez miesiąc. Mam ciche podejrzenia, że jej ginekolog trochę przesadził z początkową dawką. Przy kuracji hormonalnej czworaczki nie powinny pojawiać się tak natychmiast. No cóż... Co my tu jeszcze mamy? Panią Marię Sifuentes, to ten pokój tutaj. A gdzie leży twoja pacjentka? Która to?

Paula nie od razu odpowiedziała, nadal roztargniona i nieobecna duchem z powodu bliskości Maxa.

- Moja? Nazywa się Callie Herbert, poród odbył się dziś w nocy, prawidłowy, drogą naturalną. Według karty wszystko jest w porządku, ale sama jeszcze jej nie widziałam. Miałam być u niej kilka minut temu, ale karmiła właśnie dziecko i nie chciałam przeszkadzać. Pewnie już skończyła.

- W takim razie zobaczymy się później w gabinecie.

Po chwili zniknął w pokoju pani Sifuentes.

Callie Herbert skończyła karmienie Thomasa. Spał teraz, wygodnie ułożony w ramionach matki. Pani Herbert uniosła głowę i uśmiechnęła się do wchodzącej Pauli. Widać było, że na nią czekała.

- Przepraszam - rzekła. - Widziałam, że pani do mnie zaglądała, miałam nawet zawołać... Chce go pani teraz zbadać?

- Tak, mogę to zrobić nawet tutaj, jeśli pani woli, ale będę go musiała położyć w łóżeczku, a to go pewnie obudzi.

- Trudno, najważniejsze to sprawdzić, czy wszystko jest w porządku, prawda?

Podawała dziecko Pauli, która przełożywszy je do łóżeczka, rozpoczęła badanie.

- Jest cudowny - powiedziała po kilku minutach do szczęśliwej matki - zdrowy jak rybka, ma odpowiednią wagę, wszystko idealnie. Długo go pani karmiła?

- Przez jakieś pięć minut. Nie chciałam próbować dłużej, ja... mogę go karmić tylko jedną piersią. Nie wiem, czy już o tym mówiłam i czy doktor Hunt to wie.

- Nie, chyba nie. W karcie pani córki nie ma wzmianki o tym, że miała pani usuniętą pierś. - Głos Pauli zabrzmiał spokojnie i łagodnie.

- Amputowano mi ją w niecałe dwa lata po urodzeniu Elizabeth. Karmiłam ją przez dziesięć miesięcy i potem myślałam, że to takie zgrubienie gruczołów mlekowych i że to samo minie. Potem zrekonstruowano mi tamtą pierś, ale oczywiście nie mogę w niej mieć mleka. Przez całą ciążę bardzo się przejmowałam.

Paula uśmiechnęła się.

- Witaj w klubie, Callie!

- Co takiego? To znaczy, że...

- Tak, straciłam lewą pierś pięć lat temu.

Wymieniły porozumiewawcze uśmiechy, związane nagle wspólnym losem. Callie Herbert spojrzała z czułością na śpiącego Thomasa.

- W takim razie rozumie pani, co czułam; dlatego tak długo czekaliśmy z następną ciążą. Chciałam odczekać pięć lat, żeby mieć pewność. To znaczy ja wiem, że nigdy nie można mieć pewności, ale... Tak czy inaczej, podczas tej drugiej ciąży strasznie się bałam, że coś się wydarzy. Niektórzy mówili, że to

brak odpowiedzialności mieć dziecko, jak się jest w takim stanie, bo można nie zdążyć go wychować. Przecież to absurd! Jaka matka może z góry założyć, że zdąży wychować swoje dziecko? Żadna, prawda? Jak pani myśli?

Paula przytaknęła skinieniem głowy.

- Myślę, że to cudowne, po prostu cudowne - powiedziała z przekonaniem.

Czy to mogłam być ja? Po raz któryś z rzędu zadała sobie to pytanie w drodze powrotnej do domu. Czy moje życie potoczyłoby się inaczej, gdybym jeszcze była żoną Chrisa, kiedy odkryłam u siebie ten guzek? Może to by nas zbliżyło, może teraz miałabym dziecko jak Callie... Może...

Wiedziała, że podobne gdybanie do niczego nie prowadzi. Jediną dobrą rzeczą, jaka ją spotkała w ciągu ostatnich pięciu lat, było to, że rozstała się z Chrisem, zanim ten koszmarny guzek się pojawił. Nie miała wyboru i nikogo nie postawiła w trudnej sytuacji. Byli ostatecznie rozwiedzeni i wspólne życie nie wchodzi już w rachubę.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Sam Hasher był zapisany na wizytę o czwartej i powinien przyjść prosto ze szkoły. Początkowo miał się zjawić w poniedziałek, ale jego matka w ostatniej chwili zadzwoniła z prośbą o przełożenie wizyty. Paula zaznaczyła sobie spotkanie z Samem na wydruku komputerowym małą gwiazdką. Chłopiec intrygował ją i niepokoił; gdyby tylko mogła porozmawiać z nim w cztery oczy...

Przez chwilę myślała, że wreszcie będzie miała okazję. Kiedy zastała go samego w pokoju numer sześć, dokąd wprowadził go pielęgniarz, miała nadzieję, że coś się wyjaśni. Sam jednak nawet w czasie nieobecności matki nie był rozmowny.

- Jak to nowe lekarstwo? - zapytała swobodnym tonem.

- Może być.

- Ataki stały się rzadsze i słabsze?

Chłopiec zmarszczył brwi.

- Nie.

Było widać, że wie, co lekarka teraz powie.

- Trzeba będzie troszkę zwiększyć dawkę.

Nie zdążyła dodać nic więcej, bo drzwi otworzyły się nagle i do środka wtargnął ojciec Sama. Byli tak do siebie podobni, że nikt nie mógł mieć wątpliwości co do stopnia ich pokrewieństwa, ale różnice psychiczne były równie wyraźne. Ojciec był typem agresywnym i wybuchowym; syn - zamknięty w sobie, nerwowy i... chyba bardziej niebezpieczny.

Paula poczuła, że cierpnie jej skóra na sam dźwięk głosu Raya Hashera.

- Ile czasu jeszcze mam czekać? Tam w tej poczekalni dzieciaki tak strasznie się dra, że nie można wytrzymać!

Wiedziała, że przesadza. W szpitalu Catalina Canyon poczekalnie były przestronne i nigdy nie było w nich tłoku; nie brakowało też zabawek i kolorowych książeczek, by mali pacjenci nie mieli czasu płakać.

Sam Hasher zerknął na nią i jego wzrok powiedział Pauli: „Nie zatrzymuj mnie; on jest wściekły i wyładuje się na mnie”.

Paula zawahała się. Naprawdę chciała tego dnia zrobić coś więcej niż tylko zwiększyć chłopcu dawkę zażywanego leku, ale wtargnięcie nieproszonego gościa spłoszyło ją prawie tak samo jak jego. Mogła oczywiście wyprosić intruza za drzwi, ale wiedziała, że w takiej sytuacji i tak nic nie wydobędzie od chłopca. Wypisała nową receptę i bez słowa podała ją Samowi.

- Kiedy mam teraz przyjść? - zapytał.
- Zadzwoń do twojej mamy i umówię się z nią, dobrze?
- Dobrze.
- Idziemy - warknął Ray Hasher.

Obrzucił pełnym obrzydzenia wzrokiem pokój przyjęć i niemal siłą wyciągnął syna na korytarz. Paula przez chwilę siedziała bez ruchu, próbując się opanować i zebrać myśli. Przerwało jej dopiero pukanie sekretarki, pytającej, czy za jakiegoś pół godziny przyjmie pięciomiesięczne dziecko, którego matka właśnie dzwoniła.

- Powiedz, że mogą przyjechać.

Musiała oderwać się od myśli o Samie i zająć nowym przypadkiem. Dziecko miało podwyższoną temperaturę, zapalenie ucha i trzeba mu było podać antybiotyki. Paula przepisała co trzeba i zaraz potem zadzwoniła do matki Sama do pracy, żeby się umówić na najbliższy poniedziałek.

- To trochę potrwa, a wiem, że nie ma pani dużo czasu. Może zrobimy tak: zostawi pani Sama u mnie i pójdzie sobie zrobić zakupy.

Nie chciała, by pani Hasher domyśliła się, że chce się od

JESZCZE ZAŚWIECI SŁOŃCE

chłopca dowiedzieć czegoś więcej o ich życiu rodzinnym. Udało się, i to był jedyny sukces Pauli tego dnia. Praca dobiegła końca i mogła pomyśleć o powrocie do domu.

Kiedy zamykała drzwi od swego gabinetu, przechodził Max. Jak zwykle na jego widok ogarnęło ją dziwne uczucie podniecenia i spokoju, co samo w sobie powinno być sprzeczne, ale z jakiegoś osobliwego powodu wcale takie nie było. Uśmiechnęła się do siebie i Max już miał ją minąć, gdy nagle coś w wyrazie jej twarzy sprawiło, że zawahał się i zatrzymał.

- Ja nic nie chciałam - rzekła zmieszana - tylko tak się uśmiechnęłam...

- Bardzo dobrze ci to tym razem wyszło. Trening robi swoje.

- To wcale nie trening... To znaczy, chciałam powiedzieć, że to był prawdziwy uśmiech.

- Prawdziwy! Coś takiego! Obdarowałaś mnie prawdziwym uśmiechem? Hurra! To wielki sukces!

Paula pokręciła głową.

- Chyba niesłusznie tak zaraz wyceniasz najdrobniejsze grzeczności, jakie wymieniamy, i badasz, na ile są spontaniczne. Przecież zdarza się, że człowiek...

- Masz rację - przerwał jej i wyjął z kieszeni słoneczne okulary, które zasłoniły przed nią jego spojrzenie.

Jak zwykle odebrała to nieprzychylnie; nie lubiła rozmowy z Maxem, kiedy nie widziała jego oczu.

- Tyle mówisz o szczerości i braku udawania, a sam wkładasz okulary, które pomagają ci się ukryć przed całym światem.

- Nie podobają ci się moje okulary?

- Czy to całkiem prywatna sprzeczka, czy też mogę się przyłączyć? - dobiegł ich głos Deborah Weir.

- Całkiem prywatna - odrzekł poważnie Max. - Tak bardzo prywatna, że nawet nie zauważyłem, że to sprzeczka. Paula, czy my się sprzeczamy?

- Wcale nie - zaprzeczyła Paula i Deborah, straciwszy zainteresowanie całą sprawą, poszła swoją drogą.

- Podobają mi się twoje okulary - wyjaśniła Paula. - Uważam tylko, że nie powinienes ich wkładać, kiedy z kimś rozmawiasz, bo wtedy ta osoba może odnieść wrażenie, że pragniesz przed nią ukryć to, co naprawdę myślisz.

- Może rzeczywiście nieraz chcę ukryć.
- Są subtelniejsze sposoby.
- Moje okulary nie są subtelne?
- Nie bardzo.
- Twój zdawkowy uśmiech również nie.
- O Boże, a ty znowu swoje!

Przebyli już korytarz i kierowali się ku drzwiom wyjściowym. Paula czuła się wyśmienicie, tak z nim rozmawiając. Niczego się nie obawiała i znajdowała nawet jakąś dziwną przyjemność w przekomarzeniu się z Maxem. Zeszli po schodach na pustą o tej porze podjazd.

Przystanęli i Paula nagle zrozumiała, że Max niezauważalnie zajął w jej życiu miejsce, którego istnienia nawet nie podejrzewała. Pomyślała, że bardzo źle się stało, iż uświadomiła sobie ten fakt właśnie teraz, w jego obecności, i pożałowała, że sama nie ma przy sobie ciemnych okularów.

- Co robisz po pracy?

Doskonale usłyszała jego pytanie, ale musiała zyskać na czasie. Wiedziała, że Max pyta, co robi po pracy, ponieważ zamierza ją gdzieś zabrać.

- Słucham? Co powiedziałeś?
- Zapytałem, czy jesteś bardzo zajęta, i od razu muszę przyznać, że mam nadzieję, że nie.
- Dlaczego? - zapytała niewinnie.
- Bo od rana tak sobie myślę - rzekł z namysłem - że moglibyśmy spróbować jeszcze raz.

Pojechali na piknik do Catalina Canyon i od chwili, kiedy zabrał ją sprzed domu, była całkowicie bezradna i bezbronna wobec jego oczywistych i zupełnie jawnych zalotów.

„Zaloty” to było niewłaściwe słowo, zbyt archaiczne i te-

atralne; słowo „flirt” pasowałoby może lepiej, gdyby nie to, że dziesięć dni temu stanowczo ustalili, że nie będą z sobą flirtować. Uwodzenie? Też nie. Żadne słowo nie było tu odpowiednie i Paula na razie zrezygnowała ze stawiania diagnozy.

- Widziałaś już kanion? - zapytał Max, kiedy wyjechali na bulwar świętego Ksawerego i podążali w stronę czerwieniejących na horyzoncie rdzawych wzgórz świętego Izydora.

- Nie, jeszcze nie.

- Pewnie czekałaś, aż ci go pokaże jakiś miejscowy, kompetentny przewodnik.

- Chyba tak.

Prywatnym samochodom nie wolno było wjeżdżać na drogę prowadzącą do kanionu, więc zostawili auto na parkingu i kupili bilety na elektryczną kolejkę.

- Jest jeszcze inny sposób dotarcia do końca kanionu - oznajmił Max, wyjmując z samochodu brezentowy plecak i zarzucając go sobie na ramię.

- Tak? Jaki?

- Nie pytaj, sama zobaczysz.

- Dobrze, już o nic nie pytam... - mruknęła posłusznie.

Pewnie jest jakaś inna droga, pomyślała, i to wyjątkowo niebezpieczna. Może są na niej kłamry albo łańcuchy, albo pnie się pionowo w górę...

Wsiedli do kolejki i po chwili wiedziała już, w jaki to inny sposób można dotrzeć do kanionu. Równolegle do kolejki biegli ludzie - w kolorowych strojach do joggingu, ze słuchawkami od walkmenów na uszach, w obcisłych spodenkach i barwnych, ozdobionych napisami bluzach. Niektórzy słuchali muzyki tak głośno, że słychać ją było nawet na zewnątrz.

- Jeśli chodzi o ten rodzaju sportu - rzekł Max sceptycznie - to mam o biegach raczej niedobłą opinię. A ty?

- Ja? Sama nie wiem, to może być nawet przyjemne.

- Też nieraz biegasz?

- Nie, raczej chodzę na spacer, nie codziennie, ale tak często, jak tylko mogę.

- W takim razie proponuję rzecz następującą: wysiadziemy na ostatnim przystanku i pójdziemy dalej pieszo kanionem jakieś cztery kilometry, zupełnie jak ten facet z Grecji, no, jak mu tam...

- Jaki facet? - Nie bardzo pojmowała, o co mu chodzi. Żaden „facet z Grecji” nie przychodził jej do głowy. Może Max ma na myśli nieboszczyka Onassisa, drugiego męża Jackie Kennedy, albo Edypa?

- No ten, co tak gnał, żeby jak najszybciej oznajmić, że ktoś tam gdzieś kogoś pokonał...

- Myślisz o maratończyku?

- Otóż to - przytaknęła. - Ten to przebył kawał drogi! Ale on się tak śpieszył, bo chodziło o ludzkie życie.

- Może nawet o ojczyznę.

- Tak, na pewno o ojczyznę.

- Przynajmniej tak mi się wydaje - rzekła niepewnym głosem.

- To się chyba nazywało miasto-państwo, prawda? Ateny...

- Mam wrażenie, że żadne z nas nie przykładało się zbyt do historii starożytnej - westchnęła Paula.

- Tak czy inaczej, myślałem, że moglibyśmy...

- Zgadzam się, to bardzo dobry pomysł - zapewniła pośpiesznie.

- Chyba przedstawiłem go bardzo zawile, prawda?

- Fillipides... - odezwał się jakiś głos za nimi.

Odwrócili się zdziwieni.

- Ten facet z Grecji - powiedział starszy Anglik siedzący za nimi - nazywał się Fillipides. Wysłano go do Aten, żeby zawiadomił Ateńczyków o zwycięstwie nad Persami na równinie maratońskiej w 490 roku przed naszą erą. Zmarł z wycieńczenia natychmiast po przybyciu do Aten, chociaż przebiegł tylko czterdzieści parę kilometrów. Ten epizod, o którym państwo

również wspominali... - starszy pan poprawił się na ławce - kiedy to przebiegł dwieście dwadzieścia kilometrów w ciągu dwóch dni, aby ostrzec Spartę, że Persowie zaatakowali Ateny, miał miejsce nieco wcześniej, w tym samym roku. Biegi maratońskie nie stanowiły oczywiście wówczas dyscypliny olimpijskiej, jak to jest obecnie.

- Bardzo panu dziękujemy. - Paula była nieco zmieszana. Czyżby wszyscy pasażerowie pierwszego wagonu kolejki słyszeli ich dywagacje na temat bitwy pod Maratonem?

- Co się tyczy biegania - dodał jeszcze starszy pan - to całkowicie podzielam pana zdanie.

- My też! Ija! - rozległo się z różnych stron.

A jednak wszyscy słyszeli!

Paula i Max wymienili porozumiewawcze uśmiechy i głęboko westchnęli.

Kobieta prowadząca kolejkę zaczęła wygłaszać krótki komentarz dotyczący kanionu i okolicznych atrakcji turystycznych, lecz Paula jej nie słuchała. Siedziała w milczeniu, obserwując przesuwane się przed jej oczami skalne ściany i wysokie kaktusy saguaro, poskręcane powiewem nie istniejącego wiatru niczym tancerze zastygli w karkołomnych pozach. Szmer strumienia płynącego po skałach kołją i uspokajał.

Spokój narastał w niej i wypełniał jej duszę, aż do momentu, kiedy spostrzegła zwrócone w swoją stronę lustrzane okulary Maxa i zrozumiała, że on też nie słucha słów przewodniczki, nie patrzy nawet na okolicę, tylko wpatruje się w nią, jakby to ona właśnie była najbardziej interesującym eksponatem.

Nie mogła zareagować, bo wokół nich byli ludzie, ale szybko znowu zwróciła wzrok ku skałom i strumieniowi, jakby wcale nie zauważyła zachowania Maxa. Spokój jednak prysnął, serce zabiło jej gwałtownie. Dlaczego on tak się w nią wpatruje? Co chce wiedzieć? I co ona za wszelką cenę chce ukryć?

Z każdą sekundą czuła się coraz bardziej związana z Maxem i z każdą sekundą coraz bardziej bała się to okazać. Czyżby

spotkanie Maxa Costaina oznaczało, że będzie musiała jeszcze raz przemyśleć to, co, jak sądziła, przemyślała już raz na zawsze? Czy jej postanowienie, że już nigdy nie zwiąże się z żadnym mężczyzną, może ulec zmianie? Dlaczego nigdy przedtem nie brała tego pod uwagę?

Odpowiedź na to ostatnie pytanie była najłatwiejsza. Nie brała tego pod uwagę, ponieważ mężczyźni których spotkała w ciągu ostatnich pięciu lat, w niczym nie przypominali Maxa. Po prostu nie było najmniejszego porównania. W obecności Matta, Jeffa i Davida jej ciało i serce nie zachowywało się tak, jak w jego obecności. Nie zdradzało jej i nie zmuszało do nieustannej czujności.

Zrozumiała, że nie miała najmniejszej ochoty wiązać się z Mattem, Jeffem ani Davidem nie dlatego, że wykluczyła tego typu związki ze swojego życia, lecz dlatego, że żaden z nich jej nie interesował. Nie odniosła żadnego zwycięstwa i wcale nie okazała się tak niezłomna, jak myślała. Po prostu pokusa nie była zbyt silna, a może wcale nie było żadnej pokusy...

Tym razem sprawa była o wiele trudniejsza.

Kiedy po dwudziestu minutach wysiedli wreszcie z kolejki, spostrzegli, że zostali sami. Angielscy, kanadyjscy i amerykańscy turyści nie mieli ochoty na wędrowanie i drogę powrotną woleli odbyć tak jak przybyli.

Rozejrzała się; nieco wyżej majaczyło w oddali kilku piechurów. Niżej, po skałach, schodziła w dół niewielka grupa turystów. Paula i Max nie poszli za nimi, tylko stojąc w miejscu, rozkoszowali się samotnością. Stali nieruchomo w suchym powietrzu pustyni, tak jakby wszystko wokół - skały, kaktusy i postrzępione ściany kanionu - sprzyjało temu, co rodziło się między nimi.

Mimo stosunkowo później pory — dochodziło już wpół do siódmej - było jeszcze bardzo ciepło. Oboje mieli na sobie szorty - Max koloru khaki, a Paula z kwiecistego płótna, kolo-

rem dopasowanego do luźnej bluzki - i pustynne powietrze, łagodnie przenikając przez zwiewną tkaninę, chłodziło lekkim powiewem ich rozgrzane ciała.

- Masz ochotę iść tam za nimi? - zapytał Max i Paula spoj-rzała w górę.

Małeńkie postacie turystów oddaliły się i zbladły na tle kaktusów. Wspinaczka nie bardzo ją pociągała.

- Jak by to powiedzieć...

Max wcale się nie zmartwił.

- Nie? Świetna decyzja! Idziemy po płaskim!

Ujął ją za rękę i dalszy ciąg wieczoru potoczył się radośnie i lekko. Wędrowali, trzymając się za ręce, w czystym i suchym powietrzu, jakby się w nim unosili, nie czując najmniejszego zmęczenia. Od czasu do czasu przystawali nad jakimś strumie-niem i spryskiwali twarze i ramiona chłodną wodą o przejrz-ystości kryształu. Max uprzedzał, że do miejsca piknikowego jest około czterech kilometrów, ale przebył je tak szybko, że Paula ledwo zauważyła, że drogę mają już za sobą. Na polanie spotkali innych turystów, ale miejsca było tyle, że każdy mógł znaleźć dla siebie spory kawał ziemi na trawie nad rzeką albo wśród licznych drzew.

Kolacja była prosta i skromna.

- Podjęliśmy tę decyzję w ostatniej chwili - wyjaśnił Max - i musiałem się spakować w pięć minut, bo bałem się, że się spóźnimy na ostatnią kolejkę o szóstej. O tej porze roku zamy-kają wejście do kanionu o dziewiątej. Ostatnia kolejka odjeżdża o ósmej trzydzieści.

Szybko zjedli, co mieli - krakersy, ser, salami, owoce i jogurty waniliowe - popili wodą mineralną i uznali, że w taki upał to zupełnie wystarczy. Wraz z zachodzącym słońcem jed-nak nastał przyjemny chłód. Większość turystów spakowała się pośpiesznie, chcąc zdążyć na ostatni „tramwaj”.

Paula usiadła nad brzegiem strumienia, zdjęła buty i skarpet-ki, i zanurzyła nogi w zimnej wodzie. Po chwili jednak wzdryg-

nęła się, wstała i podeszła do Maxa, który odmówił moczenia się w chłodnej wodzie i siedział teraz na skale.

- Pewno nie chciałeś się kąpać, bo uważasz, że strasznie trudno jest potem wciągać skarpety na mokre nogi - powiedziała żartobliwie.

- Czy to taka aluzyjna prośba o pomoc?

- Skądże! Wcale nie!

Było jednak za późno. Max wyjął chustkę z plecaka, ujął jej moką nogę w kostce i starannie zaczął ją wycierać. Paula nie mogła mu przeszkodzić; mogła tylko spokojnie poddać się dotykowi jego rąk i patrzeć na niego, czując, jak gorąca fala, wypływająca w miejscu, gdzie dotykał jej skóry, z wolna ogarnia całe jej ciało. Było to tak podniecające, jak najbardziej wymyślna pieszczota.

Kiedy wreszcie przestał, jej nogi były już zupełnie suche i miała nadzieję, że operacja dobiegła końca. Max jednak spokojnie sięgnął po skarpetki i zaczął je wkładać Pauli powoli, jakby z namysłem i podejrzaną dokładnością. Potem pogładził obie jej nogi, na krótką chwilę zatrzymując dłonie na wysokości kostek, zupełnie jakby czuł konwulsyjny dreszcz, jaki w niej ten ruch wywołuje.

- Buty włożę sama, dziękuję - mruknęła, czując, jak ogarnia ją gniew, bo ten mężczyzna robił z nią, co chciał.

Max jakby rozmyślnie dolał jeszcze oliwy do ognia.

- Masz śliczne stopy.

- Rozumiem, to była inspekcja... Oglądałeś mnie, tak jak się ogląda pęciny konia na targu. Czy to arab czystej krwi, tak?

- Co też ty mówisz! - skrzywił się z niesmakiem. - Kto to widział, konia wycierać chusteczką...

Paula nie dała za wygraną; musiała jakoś wyładować emocje.

- A po co ci te ciemne okulary? Przecież słońce już zaszło.

- Ty naprawdę nie cierpisz moich okularów.

- Nie lubię ich, bo nie widzę twoich oczu, nie widzę, na co patrzysz i jak patrzysz.

- W takim razie... - powolnym ruchem zdjął z oczu lustrzane osłony - zobacz sobie, na co patrzę.

Spojrzała w jego oczy i wszystko stało się jasne. Max patrzył na nią i nie zadawał sobie najmniejszego trudu, by ukryć pożądanie, z jakim to czynił.

- Nie oglądałem cię, Paulo - oznajmił poważnym tonem - ja ciebie... odkrywałem. Okazywałaś się równie cudowna, jak oczekiwałem. Masz taką delikatną skórę, masz maleńkie, prawie niewidoczne włoski... Kobiety zwykle golią sobie nogi, ale ty nie musisz tego robić, bo...

- Ja...

Zaczerwieniła się jak piwonია. A to ci komplement! On się zachwyca tym, że ona nie goli sobie nóg! Nigdy tego nie robiła, bo miała zbyt delikatną skórę, a maleńkie jasne włoski prawie nie były widoczne... Teraz nawet o tym nie myślała, bo raz na zawsze postanowiła, że nikt nigdy nie będzie dotykał jej ciała. Zresztą mężczyźni i tak zazwyczaj lubią dotykać piersi. A ona...

Max przez chwilę patrzył na nią tak, jakby chciał ją pocałować. W końcu to zrobił; dotyk jego warg sprawił, że zapomniała o tym, jak bardzo podniecił ją, wycierając jej nogi. Wiedziała, że teraz zapragnie dotknąć jej piersi; nie wyobrażała sobie, że ktoś może to zrobić po tym, co ją spotkało. Drgnęła i lekko wyśliznęła się z jego ramion.

- Czy to coś złego? - zapytał cicho.

- Nie - szepnęła, nie mogąc kłamać. - W tym nie ma nic złego...

Dobiegł ich dźwięk ostatniej kolejki zdążającej na końcowy przystanek. Wiedzieli, że przystanie tam tylko na chwilę. Zerwali się z trawy i błyskawicznie spakowali do plecaka resztki jedzenia i serwetki. Max zarzucił plecak na ramię i w milczeniu opuścili brzeg rzeki, kierując się w stronę przystanku.

Dotarła do domu piętnaście po dziewiątej; wychodząc, zostawiła zapalone światło w korytarzu i teraz powitał ją złoty

blask przytulnego wnętrza. Podziękowała Maxowi i pożegnali się, a potem, tak jakby blask lampy z wnętrza domu przyciągał ich swym ciepłem, stali jeszcze przez chwilę, nie mogąc się zdecydować na rozstanie. W pewnej chwili Paula usłyszała swój cichy, spokojny głos.

- Może byś na chwilę wszedł do środka? Wczoraj zrobiłam nugaty, moglibyśmy napić się kawy, a może czegoś mocniejszego, jeśli masz ochotę.

Nie od razu odpowiedział; przez chwilę przyglądał jej się w świetle ulicznej lampy.

- Dobrze, na chwilę - powiedział wreszcie.

Napięcie między nimi jeszcze wzrosło; Paula przygotowała kawę i talerz z nugatami, a potem zapytała Maxa, jaką muzykę lubi. Kiedy wróciła do salonu, dobiegła ją dźwięk muzyki country i porozumiewawcze spojrzenie jej gościa.

- Taką właśnie lubię - oznajmił - ale skoro dla ciebie to za mało nowoczesne, możemy zmienić.

- Przecież wzięłaś płytę z mojego zbioru, więc chyba to lubię - odparła.

- To przecież mógł być, na przykład, prezent. Mogłaś dostać od kogoś tę płytę i przez grzeczność powiedziałaś, że bardzo się cieszysz. Ale to naprawdę dobre i świetnie się nadaje na pewien rodzaj okazji.

- Taki jak dzisiaj?

Uśmiechnął się tajemniczo.

- Może... Jeszcze sam nie wiem.

Wyraźnie chciał zyskać na czasie i oboje o tym wiedzieli. Powoli pili kawę, od czasu do czasu sięgali po słodycze i spokojnie gawędzili. Spokój Pauli był jednak pozorny. Cały czas w duchu bombardowała samą siebie pytaniami: dlaczego to powiedziałam? Dlaczego zrobiłam to tak, a nie inaczej? Dlaczego go o to zapytałam? Wysyłam chyba jakieś sygnały i każdy mężczyzna może je zrozumieć. Max jest co prawda wyjątkowy, ale przecież i on...

Na pewno zaraz ją pocałuje; nie ma najmniejszych wątpliwości. Zrobi to tak jak tam, w kanionie; pocałuje ją z mieszaniną chłopięcej nieśmiałości, stanowczej dojrzałości, ze spontaniczną czułością wzbudzającą zaufanie, bo nie mającą w sobie nic z rutyny.

Wiedząc, że to zaraz nastąpi, przygotowała się na odpowiedź. Ona też go pocałuje, mocno, ale krótko. Tak, by zrozumiał, że to nie jest wstęp do niczego. Tak czy inaczej, jest przygotowana i nie da się zaskoczyć!

Nękała ją co prawda podejrzenie, że może byłoby lepiej zdać się na instynkt i głos serca, ale natychmiast je stłumiła. Max jest wprawdzie niezwykle atrakcyjny, ale ona przecież nie zamierza pakować się w romans. Czuje do niego coś zupełnie nowego, lecz żaden związek nie wchodzi w rachubę, przynajmniej na razie, więc oczywiście byłoby najlepiej, gdyby nie spotykali się w sytuacjach, które ewentualnie mogą sprzyjać...

Kiedy wreszcie stało się to, co stać się miało, i Max ją pocałował, całej jej pieczołowicie przygotowany plan runął w jednej chwili. Jego wargi na jej ustach dokonały cudu i Paula poddała mu się bez najmniejszego sprzeciwu. Tak dawno, tak bardzo dawno nie czuła już czegoś podobnego...

Może nawet nigdy nie czuła się dokładnie tak jak w tej chwili. Pocałunek Maxa przypominał dawne pocałunki Chrisa i wiedziała, do czego może to doprowadzić. Max całował ją tak, jakby smakował jej istotę, zachłannie pochłaniając jej wnętrze. Objął ją i mocno przytulił, a jego wargi powędrowały ku jej włosom, szyi i znowu powróciły do ust. Stali pośrodku pokoju i mimo że Paula nie była niska, Max, całując ją, lekko ją unosił.

- Jesteś słodka - szepnął - jesteś naprawdę słodka...

Zamruczała z rozkoszy i mocniej przyciągnęła jego głowę. Gdyby mogła tak stać, całować go i nie myśleć... Wyczuł narastające w niej podniecenie i zsunął dłonie na jej biodra.

- Jesteś cudowna, wszystko w tobie jest cudowne... Twoje stopy, biodra, twoje piersi...

Jego ostatnie słowo smagnęło ją jak biczem. Tylko nie pierś... Nie wiesz... Miała świadomość, że w takim stanie Max nie wie, co mówi, i nie przywiązuje uwagi do słów. W tym przypadku było tak może nawet lepiej. Ale... skoro ona wie i nic mu nie mówi, to tak jakby świadomie go oszukiwała, wprowadzała w błąd, pozwalała wierzyć w coś nieprawdziwego. Przecież trzeba mu powiedzieć... Nie była jednak gotowa, nie wiedziała nawet, jak to zrobić, jakich słów użyć, jak się zachować.

Drgnęła jak przebudzona z pięknego snu i zaczęła powoli wydobywać się z obejmujących ją ramion. Łagodnie odsunęła Maxa, niczym dziewczyna, która daje do zrozumienia koledze, że posunął się za daleko.

- Nie, Max, nie...

Jego szare oczy pociemniały.

- Dlaczego? Co się stało?

- Nic, ale musimy przestać, to wszystko.

Czekał, aż Paula doda coś jeszcze, a potem zapytał łagodnie:

- Ale dlaczego?

Nie była w stanie mu odpowiedzieć. Na pierwszej randce nie mówi się takich rzeczy, tym bardziej jeśli nie ma się pewności, czy to zarazem nie będzie randka ostatnia. Wiedziała, że Maxa nie zbędzie byle czym; Max nie ustąpi, będzie tak stał i spokojnie czekał na wyjaśnienia. Będzie się zastanawiał, analizował, namyślał, aż sam gotów odkryć prawdę.

- Ja po prostu nie chcę posunąć się dalej - szepnęła wykrętnie. - Nie jestem na to przygotowana i nie lubię podobnych sytuacji.

- Jeszcze kilka minut temu wydawało się, że lubisz - rzekł z wyrzutem.

- I sądziłeś, że świetnie trafiłeś!

Wykrzyknęła to złym głosem i Max spojrział na nią z gniewem.

- Przestań!

Jego głos paradoksalnie przyniósł jej ulgę. Wolała, kiedy był zły...

- Przecież wiesz, że nie przyszedłem, tutaj po to. Wycieczka była cudowna, było nam dobrze, nie czułem się tak... sam nie wiem od kiedy. Doskonale nam się rozmawiało, śmiałyśmy się, żartowaliśmy...

- Więc trzeba było na tym poprzestać - przerwała mu. - Po co brnąć dalej? Dlaczego mężczyźni zawsze uważają, że nagrodą za przyjemnie spędzony czas powinien być seks? Zupełnie jakby cały ten piknik w górach miał tylko jeden cel: wylądować razem w łóżku!

- Przestań! - zawołał poirytowany. - Nie przypuszczałem, że możesz tak myśleć! Czy ty naprawdę uważasz, że ja cały ten czas grałem komedię w oczekiwaniu na... nagrodę? Czy zamierzasz mi teraz powiedzieć, że nie było ci dobrze? Ja to wiem. Nie jestem głupcem i pewne rzeczy widzę. Jestem dorosłym mężczyzną, a ty jesteś dojrzałą kobietą. Wszystko jest jasne. Jesteśmy oboje wolni i możemy robić, co chcemy, nikt tu nikim nie manipuluje, przynajmniej ja nie miałem ani przez chwilę takiego zamiaru. Ty też miałaś ochotę na to, co robiliśmy, nie możesz zaprzeczyć!

- Tak, to prawda, ale nie mam ochoty na dalszy ciąg. To chyba proste?

Nie zamierzała łagodzić sytuacji; przeciwnie, chciała jeszcze bardziej go rozgniewać. W ten sposób zamykała drogę przed porozumieniem i ewentualnym wyznaniem. Gdyby teraz Max łagodnie, z czułością, poprosił, żeby wyjawiała prawdziwy powód swego zachowania, zrobiłaby to. On jednak spojrzał na nią ze złością.

- Tak, to bardzo proste - potwierdził sucho. - Będzie tak jak sobie życzysz.

- Dziękuję.

- Dziękuję za kawę i ciasteczka.

- Aja za piknik. To było cudowne, ja... Mnie naprawdę było bardzo dobrze.

- Doprawdy? - Ze zdziwieniem uniósł brwi. - A ja raczej myślę, że zbyt szybko przejęłaś się moją radą i doskonale przeciwczyłaś przed lustrem te wszystkie uśmiechy, przechylenia głowy, zachwyty w oczach i sposób, w jaki odgarniasz włosy z czoła i przygryzasz wargę, żeby się nie roześmiać. Nauczyłaś się doskonale udawać osobę zasłuchaną w słowa rozmówcy, do perfekcji opanowałaś sposób jedzenia na trawie i spacerowania po górskich ścieżkach, a nawet zadawania pytań, tak żeby się miało złudzenie, że odpowiedź naprawdę cię ciekawi. Jesteś świetną uczennicą, pojętną i pilną. Może nawet za bardzo!

- To nieprawda! Max, ja nigdy... To znaczy, ja naprawdę ani przez chwilę nie udawałam, ja tylko...

- ..zmieniłaś plany w pół drogi - dokończył.

- Tak, właśnie coś takiego, ja zmieniłam zdanie.

Spojrzał na nią już bez złości.

- Miałabyś prawo tak zrobić, gdybyś miała siedemnaście lat. Ponieważ jednak tak nie jest, zaczynam wątpić, czy psychicznie jesteś o wiele bardziej dojrzała niż nastolatka.

Paula przymknęła oczy.

- Dobrze, Max, nie mów nic więcej. Jest mi bardzo przykro.

- Mnie również, możesz mi wierzyć.

Skierował się ku drzwiom i nie zrobiła nic, by go zatrzymać. Wiedziała, że Max ma rację. Przez cały dzień wysyłała mu sygnały, może nieświadome, ale jasne i oczywiste. Czuła się w jego towarzystwie tak dobrze, była szczęśliwa i radosna. Nic dziwnego, że tak bardzo się rozgniewał, kiedy w pięć minut później zrobiła zwrot o sto osiemdziesiąt stopni.

- Dobranoc... - powiedziała tak łagodnie i smutno, że na chwilę przystanął, zawahał się i zwrócił ku niej.

Natychmiast odwróciła wzrok i pozwoliła mu odejść. Po chwili dobiegł ją cichy dźwięk zamykanych drzwi. W domu zapanowała cisza i pustka. Muzyka ucichła, życie zamarło. Przed godziną, gdyby go tu nie zaprosiła, jej dom wydałby się jej przytulny i ciepły. Teraz, po jego wyjściu, był obcy i odpychający.

Podeszła do telewizora i włączyła go, chcąc za wszelką cenę zapewnić sobie jakieś towarzystwo. Niech to nawet będzie ta jasnawłosa prezenterka, Kelly Rainer, wszystko jedno... Paula zapomniała, że zrobiło się już bardzo późno i że czekają tylko wieczorne wiadomości. Kelly Rainer uśmiechnęła się z ekranu i oświadczyła, że jest po jedenastej i proponuje widzom obejrzenie pewnego wesołego widowiska, najpierw nadadzą jednak kilka reklam...

- O Boże! - jęknęła Paula.

Czy naprawdę nigdy nie można dać ludziom czegoś ciekawszego niż reklama nowych środków nasennych? Lepsza już ta okropna cisza, pomyślała, i z westchnieniem zgasiła telewizor.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Max po powrocie z lunchu spojrział na listę czekających go jeszcze tego dnia pacjentów. Był czwartek; od wycieczki z Paulą minął niecały tydzień. O wpół do drugiej miała przyjść pięcioletnia Elinor Blenco; w czasie ostatniej wizyty stwierdzono u dziewczynki zapalenie ucha i gardła.

Przetarł ręką czoło i zamknął oczy, próbując się skupić. W normalnym warunkach nazwisko to kojarzyło mu się przyjemnie. Od lat przyjaźnił się z burmistrzem Zumy, Davidem Blenco. David owdowiał dwa lata temu i sam wychowywał dwójkę dzieci: Elinor i trzyletniego Daniela. Prócz tego zajmował się polityką i był jedynym znanym Maxowi człowiekiem, który robił to uczciwie i zgodnie ze wszelkimi wymogami etyki.

Na wizyty lekarskie dzieci często przyprowadzała babka, ale nieraz robił-to sam David i wtedy mogli sobie trochę porozmawiać. Dzisiaj jednak Max nie miał ochoty na żadne rozmowy. Głowę miał zajętą czym innym i nie wiedział, czy potrafi jak gdyby nigdy nic gawędzić z Davidem o sporcie. David lubił rozmawiać na ten temat.

- Saro, życzę ci udanego pobytu w Disneylandzie! - powiedziała w sąsiednim gabinecie Paula i jak zwykle drgnął na dźwięk jej melodyjnego głosu.

Pragnął jej, miał tego pełną świadomość. Nie pożądał jej jednak tak, jak mężczyzna pożąda ujrzaną na ulicy kobietę. Od samego początku nie było w tym nic przelotnego...

Był na nią wściekły! I był wściekły na siebie!

Przecież to niesamowite, żeby kobieta tak inteligentna jak

JESZCZE ZAŚWIECI SŁOŃCE

Paula nie wiedziała, czego chce. Jak można tak się miotać? On w każdym razie nie potrzebuje kogoś tak znerwicowanego i zmiennego. O nie, za żadne skarby świata!

Ale...

Należał do mężczyzn, którzy szanują kobiety, zwłaszcza te odważne, mądre i szlachetne, a Pauli nie można było odmówić podobnych przymiotów. Wiedział, że musi być coś, co zmusza ją do tego dziwnego zachowania - coś, czego nie zauważył i dlatego zbyt pochopnie ją osądził. Może wtedy, tamtego wieczoru, powinien się opanować i spokojnie z nią porozmawiać, zamiast od razu unosić się gniewem.

Trzeba będzie spróbować ją zrozumieć, dać jej czas, a samemu popracować nad emocjami. Podjęcie decyzji ulżyło mu, pomogło odegnać tłoczące się w głowie myśli i rozjaśniło umysł. Wstał, wyszedł z gabinetu i ruszył do pokoju przyjąć na spotkanie z Elinor Blenco i jej ojcem. Podczas gdy pielęgniarka przygotowywała dziewczynkę do okresowych szczepień, zamienił z Danielem kilka słów na temat polityki. Tym razem na szczęście obyło się bez pogawędki o sporcie...

- Tatusiu, ja wcale nie będę płakać - zapewniła ojca Elinor i jej błękitne oczy spojrzały bardzo poważnie.

- Wiem, córeczko.

Max uśmiechnął się do nich, wiedząc, że dziewczynka dotrzyma słowa.

Paula otworzyła notes. Na godzinę czwartą była zapisana Charlotte Hasher, lat szesnaście. Siostra Sama po raz pierwszy miała się zjawić w gabinecie bez rodziców. Następne spotkanie z Samem Paula wyznaczyła sobie dopiero na poniedziałek, toteż dzisiejszą wizytę jego siostry powitała z nadzieją; jeśli w tej rodzinie naprawdę dzieje się coś niedobrego, może zdoła się czegoś dowiedzieć...

- Z czym do mnie przychodzisz? - zapytała z uśmiechem, kiedy dziewczynka nieśmiało wśliznęła się do jej pokoju.

- Mam kłopoty z cerą - powiedziała Charlotte.

Miała na twarzy trądzik typowy dla okresu dojrzewania; wypryski na jej czole i policzkach nie były jednak specjalnie wyraźne.

- Jedna z moich koleżanek - ciągnęła dziewczynka - dostała na to jakiś antybiotyk i bardzo jej pomogło. Ja też bym prosiła o coś takiego.

Paula postanowiła nie mówić od razu, że stosowanie antybiotyku na młodzieńczy trądzik jest szkodliwe.

- Musi mieć jakiś bardzo groźny rodzaj trądziku - rzekła ostrożnie - skoro lekarz zastosował aż tak poważny lek.

- Tak. Miała straszne pryszcze, a teraz ma mniejsze. Dlatego pomyślałam, że w moim przypadku taki antybiotyk mógłby od razu wszystkie usunąć. Moje są przecież mniejsze.

Paula spoważniała.

- Posłuchaj, Charlotte, antybiotyki to bardzo silne leki; stosuje się je tylko w ściśle określonych przypadkach, kiedy inne leki, lżejsze, już nie skutkują. Trzeba wiedzieć, że mają bardzo poważne uboczne działanie i nieraz mogą choremu bardziej zaszkodzić niż pomóc. Mogą zabić nie tylko to, co powoduje chorobę, ale i to, co pomagają zwalczać.

- Jak to?

- Nasz organizm posiada pewien układ odpornościowy, który sprawia, że z pewnymi niedobrymi rzeczami sam potrafi się uporać. Kiedy nie dajemy mu tej szansy i wprowadzamy zbyt silne leki, osłabiamy go i uniemożliwiamy mu jego dobroczynne działanie. Gdybym ci podała antybiotyk na trądzik, zniszczyłabym tak zwaną florę bakteryjną, konieczną do sprawnego funkcjonowania twojego przewodu pokarmowego.

Dziewczynka skrzywiła się.

- To znaczy, że mam nic nie robić? Mam z tym po prostu żyć?

- Skądże! Możesz zrobić wiele rzeczy, ale przede wszystkim musisz pamiętać, że z czasem trądzik minie, więc zostaw go

w spokoju. Wiem, że to niewielka pociecha, ale tak jest naprawdę.

- I nie wolno wyciskać pryszczy?

- Nie, bo będą ropiały. Możesz przecierać skórę ziołowym tonikiem oraz zmienić dietę na lżejszą. Powinnaś też dużo spać i często przebywać na świeżym powietrzu. Uprawiasz jakieś ćwiczenia gimnastyczne?

- Tak... - odparła niechętnie Charlotte, wyraźnie zawiedziona opinią Pauli.

- Czy masz jeszcze jakiś problem? - Paula spojrzała na nią życzliwie, wyczuwając, że dziewczynkę gnębi coś jeszcze.

- Tak. Z miesiączką.

- Masz bóle podczas miesiączkowania?

- Nie, to tak bardzo nie boli, aleja... ja tego nienawidzę! Przez sześć tygodni miałam spokój, a potem nagle znowu dostałam, a potem po dwóch tygodniach znowu! Nie znoszę tego, bo nigdy nie wiadomo, kiedy się pojawi. Czy tego można się jakoś pozbyć?

Spojrzała na Paulę z nadzieją, naiwnie, a zarazem jakoś dziwnie. W tej dziewczynce, podobnie jak w jej bracie, tkwiła jakaś tajemnica. Paula zadała jej kilka zdawkowych pytań, cały czas uważnie śledząc reakcje dziewczynki.

- Możemy zrobić jedno - powiedziała w końcu. - Przepiszę ci pigułkę.

Czasem nastolatki pod pozorem bolesnego miesiączkowania starają się zdobyć receptę na środki antykoncepcyjne. Ciekawe, czy Charlotte też o to chodzi... Paula nie miała nic przeciwko antykoncepcji, ale nie lubiła, kiedy ktoś nią manipulował.

Charlotte spojrzała na nią z niekłamany przerażeniem.

- Pigułkę! Mama chyba by umarła, bo gdyby ojciec znalazł coś takiego... - Milczała chwilę. - Nie ma pani nic innego? A może można to nazwać jakoś inaczej?

- Nazwać inaczej?,

- Tak, na przykład, pastylki przeciwbólowe albo coś takiego.

Można to włożyć do takiego zwyczajnego pudełeczka po aspirynie.

- Nie, kochanie, to niemożliwe, ale mogłabym porozmawiać z twoim tatą.

Wzdrygnęła się na samą myśl o tym, że mogłaby Rayowi Hasherowi cokolwiek tłumaczyć, a zwłaszcza to, że profilaktycznie przepisała jego córce środki antykoncepcyjne.

Charlotte chyba też.

- Proszę tego nie robić - szepnęła błagalnie. - Ja już wolę te miesięczki, ja wytrzymam, ale niech pani nic mu nie mówi. Przecież to kiedyś samo się ureguje, prawda?

- Tak, u większości kobiet tak właśnie jest. Miesięczka staje się regularna i przestaje być bolesna około dwudziestego roku życia albo po pierwszym dziecku.

- Mama i tata żyją w separacji - oświadczyła nieoczekiwanie Charlotte, tak jakby ta myśl stale tkwiła w jej głowie i dopiero teraz nagle wydostała się na zewnątrz. - Mama mówi, że tym razem to już na zawsze. Kiedy naprawdę się rozstaną, przyjdę do pani po tę pigułkę. Mama to zrozumie. To tylko tata...

- Twoi rodzice już próbowali się rozstać? - zapytała ostrożnie Paula.

- Chyba tak... - odparła niepewnie dziewczynka. - Mama tak dziwnie o tym mówi, że nic nie mogę zrozumieć.

- Mama próbuje zatrzymać tatę i spróbować uratować małżeństwo, czy tak?

- Nie! To on nie chce sobie pójść. On...

Paula spojrzała na nią ze współczuciem.

- Twój ojciec nie jest dla was specjalnie miły, prawda?

- On nas nienawidzi, ale nie chce nas zostawić. O, rany, po co ja to pani mówię... Sam, mój brat, próbuje go przegnać tymi atakami, on ani razu nie wziął tego nowego lekarstwa. Mama myśli, że je bierze, ale on je wyrzuca. Tata nie cierpi tych jego ataków. Myślę, że Samowi by przeszło, gdyby mamie udało się tatę wyrzucić z domu.

Przerwała i spojrzała na Paulę wzrokiem przestraszonym, ale pełnym nadziei.

- Czy pani mogłaby coś zrobić, żeby się wyniósł?

O Boże, ona naprawdę sądzi, że ja wszystko mogę, pomyślała Paula.

- On nienawidzi chorób i doktorów. Kiedy Sam dostał epilepsji, a miał wtedy siedem lat, ojciec zupełnie oszalał. Mogłaby pani na przykład powiedzieć, że ja mam... wszystko jedno co. Jakąś okropną chorobę, która będzie coraz gorsza, a leczenie - strasznie drogie. Niech mu pani powie, że mi wypadną włosy. Ja nawet mogę tak zrobić, żeby wypadły.

Dziewczynka leciutko się uśmiechnęła i Paula zobaczyła, że jest bardzo ładna.

- Ty i Sam bardzo się kochacie, prawda?

- Pewnie.

Zapadła bardzo długa cisza. W końcu Paula odezwała się:

- Charlotte, ja naprawdę nie mogę powiedzieć, że jesteś ciężko chora.

- A może chociaż, że mogę na coś zachorować, na coś paskudnego...

- Posłuchaj, ja nie mogę przepisać twoim rodzicom recepty na rozwód.

- Wiem...

- A teraz, skoro jest tak, jak podejrzewałam, muszę porozmawiać z twoją matką i wyjaśnić jej, jak bardzo niebezpieczne jest to, co robi Sam.

- To jest niebezpieczne?

- Tak. Twój brat potrafi sam wywołać atak epilepsji...

- Wiem, ale nie mówi mi, jak to robi...

- Ponadto nie bierze regularnie leków. Co będzie, jeśli dostanie prawdziwego ataku? .

- Nieraz takie też miewa.

- Sama widzisz. A zastanawiałaś się kiedyś, co będzie, jeśli

podczas ataku uderzy głową o kamienne schody, takie jakie są na przykład przy wejściu do szpitala?

Charlotte spojrzała na Paulę przerażona.

- To niemożliwe!

O święta naiwności ludzi młodych! Ty jeszcze nie wiesz, że wszystko może się stać, dziewczyno...

- To bardzo możliwe - rzekła stanowczo Paula - i bardzo niebezpieczne. Oboje igracie z ogniem. Jeśli Sam nagle odstawi leki, może dostać ataku, którego skutków nie da się przewidzieć.

Dziewczynka gwałtownie zbladła.

- Myśmy myśleli... że on wszystko kontroluje...

- Nie. Muszę poprosić twoją matkę, żeby jutro do mnie przyszła z Samem. Trudno, Sam opuści jeden dzień w szkole. Nie wolno nam czekać ani chwili dłużej!

Termin wizyty Sama znowu został zmieniony i Paula wcale nie przejęła się tym, że telefonując tak nagle i żądając natychmiastowego spotkania, wprawiła panią Hasher w popłoch.

Następnego dnia rano, kiedy matka i syn weszli do pokoju przyjąć, Paula spojrzała na chłopca znacząco.

- A teraz może powiesz matce, jak wywołujesz ataki i dlaczego to robisz?

Nie doceniła młodzieńczej skłonności do dramatyzowania. Sam w milczeniu podszedł do okna i przez chwilę nieruchomo wpatrywał się prosto w słońce, jasne i ostre mimo wczesnej pory. Kilka razy zamrugął powiekami. Efekt nie kazał długo na siebie czekać. Mózg chłopca i jego ciało szybko zareagowały na wypróbowany bodziec. Chłopiec runął na ziemię, tłukąc głową o podłogę; w kąciakach jego ust ukazała się piana.

Pani Hasher z krzykiem przypadła do syna, wyjęła z kieszeni chusteczkę i zaczęła mu ją wpychać do ust, by osłonić język; Paula podłożyła mu pod głowę zwinięty ręcznik i rozluźniła koszulkę pod szyją.

- Zwykle to nie trwa tak strasznie długo - szepnęła po chwili matka.

Sekundy mijały z potworną powolnością. Nagle ktoś zapukał do drzwi i wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie. Paula zobaczyła zdziwioną twarz Maxa. Pani Hasher nawet go nie zauważyła.

- Już przechodzi... Tak, to już mija... - szeptała do siebie, pochylona nad synem.

Max spojrzał na Paulę.

- Usłyszałem jakiś hałas. Wszystko w porządku? - zapytał cichym głosem.

- Pamiętasz tę historię, którą mi kiedyś opowiadałeś? - spytała go tak samo cicho. - O tym koleźce ze szkoły, który wywoływał ataki na pokaz. Sam robi to samo. Powody są oczywiście inne, ale tym się teraz zajmiemy, skoro już je znam.

- Nie jestem ci potrzebny?

- Nie, dziękuję.

Przez chwilę patrzyli na matkę i syna, a potem Max wyszedł, wywołując w Pauli te same uczucia co zwykle.

Od pikniku w kanionie upłynął już prawie tydzień i atmosfera między nimi była napięta. Max omijał Paulę i rzadko do niej zagadywał. We wtorek po południu, podczas spotkania personelu, usiadł obok Deborah i milczał, kiedy Brian pytał Paulę, jak jej upłynęły dwa pierwsze tygodnie w pracy.

Kiedy spotykali się na korytarzu, był uprzejmy i chłodny. Paula świetnie go rozumiała i nie mogła pogodzić się z myślą, że utraciła coś, o czego istnieniu dotąd nie miała pojęcia. Obojętność Maxa sprawiała, że pociągał ją coraz bardziej, a kiedy spotykała go niespodziewanie i nie zdążyła się przygotować, czerwieniła się, czując słabość i pustkę w głowie. Właśnie coś takiego stało się teraz i musiała siłą skupić się z powrotem na przypadłości Sama. Chłopiec powoli usiadł i rozejrzał się wokół nieprzytomnym wzrokiem.

- Ten był bardzo silny, prawda? Jeszcze mnie głowa boli...

Pani Hasher załamała rękę.

- Sam, ty niedobry dzieciaku! - powiedziała zdziwionym i smutnym głosem. - Ty to robisz specjalnie?

Wzruszył ramionami w taki sam sposób, jak wtedy, kiedy Pauli po raz pierwszy przyszło do głowy, że za jego chorobą coś się kryje.

- Czy możesz powiedzieć mamie, dlaczego to robisz?

- Dlaczego, synku, dlaczego? - powtórzyła matka.

- Bo wtedy tata od nas odejdzie - odpowiedział dziwnie spokojnie, ale zaraz dodał niemal histerycznie: - Nie zniesie tego i pójdzie sobie na zawsze!

W tym miejscu medycyna stawała się bezsilna. Paula ograniczyła swą interwencję do podania chłopcu środka przeciwbólowego, wiedząc, że epileptykom po ciężkich atakach często dokuczają bóle głowy, i uświadomienia mu, na jak wielkie niebezpieczeństwo się naraża. Zobowiązała też panią Hasher do osobistego podawania synowi leków.

- Czy w ogóle zacząłeś brać ten drugi lek? - zapytała chłopca.

- Tak, wziąłem go dwa razy.

- Ale za to rzadziej brałeś tamten pierwszy?

- Tak.

- W takim razie teraz bierz oba, tylko w małych dawkach.

Leki jednak dotyczyły jedynie części problemu, tej, którą można było rozwiązać przy pomocy farmakologii. Z resztą rodzina Hasherów musiała albo poradzić sobie sama, albo przy pomocy psychologa. Paula dała pani Hasher kilka wskazówek i telefonów, pod którymi dyżurowali terapeuci, a kiedy Sam - wyczerpany silnym atakiem - poszedł do toalety, spojrzała na nią poważnie.

- Pani dzieci bardzo pragną, żeby pani rozstała się z mężem, co jest dość niezwykłe, bo zwykle dzieci za wszelką cenę chcą utrzymać rodziców razem. Oznacza to, że zachowanie ojca bardzo je rani. Sam nawet jest gotów...

Pani Hasher przerwała jej.

- To, co przez chwilę zobaczyłam, i czego się dowiedziałam ... to dla mnie szok. Teraz będę musiała naprawdę coś zrobić. To znaczy, nie „coś”, tylko po prostu muszę się z nim rozstać. Nie wiem, czy dzieci wiedzą, że to my będziemy musieli opuścić nasz dom; będzie nam, oczywiście, bardzo ciężko, bo on na pewno nie zechce płacić alimentów, ale trudno, musimy jakoś dać sobie radę.

Widać było, że decyzja została podjęta.

Ta wizyta bardzo Paulę zmęczyła i po południu sama musiała zażyć tabletkę od bólu głowy, żeby jakoś przeżyć do końca ten dzień, mimo że miała również przyjemniejsze spotkania, podczas których z czystym sumieniem mogła powiedzieć: „Jaki on śliczny!”, oraz: „Gratuluje, naprawdę doskonale się rozwija!”.

O piątej odetchnęła z ulgą; dzień pracy dobiegł szczęśliwie końca i nawet fakt, że w czasie weekendu czeka ją pierwszy dyżur telefoniczny, nie był w stanie zepsuć jej humoru. Zresztą razem z nią „pod telefonem” czuwała Mary Gibbons, młoda lekarka, której miały przypaść lżejsze przypadki, nie wymagające wielkiego doświadczenia. Najtrudniejsze i skomplikowane sprawy kierowano bezpośrednio do szpitala. Weekend zapowiadał się znośnie.

Gdy znowu na korytarzu spotkała Maxa, spróbowała opanować ogarniające ją mieszane uczucia. Próba wypadła żałośnie. Max spojrzał na nią uważnie i położył jej dłoń na ramieniu.

- Posłuchaj, Paula, powiedz mi, ale szczerze. Czy ty się mnie boisz? Przecież widzę, że coś się z tobą dzieje.

Delikatnie pogłaskał ją po ramieniu i głęboko spojrzał w oczy. Poczowała, jak pod wpływem jego wzroku miesza się jeszcze bardziej. Nie wiedziała, co robić. Odsunąć jego rękę? Powiedzieć coś, co go powstrzyma? Jak sprawić, żeby nie zachowywał się tak w miejscu pracy? Przecież to...

- Max... - zaczęła niepewnie.

- Zobacz - przerwał jej - zobacz, co się z tobą dzieje. Cała

drzysz. Gdyby tak teraz zbadać ci puls... - Ujął jej nadgarstek fachowym ruchem. - Tak, walijak szalony. Paula, przepraszam cię, że tak się wtedy zachowałem, ale byłem na ciebie wściekły.

- Miałaś rację - powiedziała pośpiesznie. - To ja cię przepraszam, zachowałam się jak idiotka.

- Spróbuj mi powiedzieć, dlaczego tak zareagowałaś.

Napięcie między nimi było tak wielkie, a cała sytuacja tak niezwykła, że Paula postanowiła przestać kłamać i kluczyć.

- Wszystko ci wytłumaczę, potrzebuję tylko trochę czasu...

- Dobrze, rozumiem. Wiem, że się rozwiodłaś z mężem.

- Tak, to prawda.

Przytaknęła i zrozumiała, że Max właśnie dostarczył jej doskonałej wymówki. Wcale nie musi mówić mu prawdy. Rozwód to świetny pretekst. I Max tak właśnie to pojmował.

- To ciężkie przeżycie. Po takim doświadczeniu człowiek potrzebuje czasu, żeby przyjść do siebie. Dlaczego od razu mi nie powiedziałaś?

Poczuła, wyrzuty sumienia.

- Max, to nie to... Ja rozwiodłam się bardzo...

Przerwało im nadejście Briana; rzucił jakieś zdanie w medycznym żargonie, który Paula nie od razu rozumiała. Była zbyt zdenerwowana i rozkojarzona. Dopiero po chwili dotarło do niej, że Brian mówi o noworodku, o którym już wcześniej wspominał/Dziecko przyszło na świat w niezbyt dobrej formie i wymagało starannego przebadania. Paula z trudem skupiła się na sprawach ściśle medycznych.

- Może to nic groźnego - mówił Brian - ale trzeba uważać. Dziecko urodziło się ze znaczną niedowagą, waży niecałe dwa i pół kilo.. Ma bardzo niskie ciśnienie. Rodzice usłyszeli rozmowę pielęgniarek i są bardzo zaniepokojeni, bo nie wiedzą, co to hipotonia, a usłyszeli takie określenie i uważają, że to jakaś groźna choroba. Trzeba będzie jakoś ich uspokoić.

- Co nie znaczy, że mamy uznać, że nie ma żadnego ryzyka - powiedział Max, nagle poważniejąc. Nie miał kłopotu ze

zmianą tematu rozmowy; widać było, że natychmiast się przestawił i całkowicie zaangażował w sprawę małego pacjenta.

Paula przeniosła wzrok na Briana.

- A ty co o tym myślisz? Jaką jest twoja wstępna diagnoza?

- Nie można wykluczyć syndromu Downa. - Brian zmarszczył brwi. - Na twarzy dziecka nie majeszczce wyraźnych znamion choroby, ale nigdy nic nie wiadomo. Dlatego właśnie chciałbym się skonsultować z jakimś drugim lekarzem, zanim cokolwiek powiemy rodzicom. Jestem wściekły na pielęgnarki. Jak można tak paplać! Już ja im dam „hipotonię"! Powinny uważać, co mówią.

- Zajmę się nim jutro z samego rana - przyrzekła mu Paula i Brian ruszył dalej, głośno dopytując się, gdzie można znaleźć Susan Clifford, dyrektorkę szpitala, do której miał jakąś niecierpiącą zwłoki sprawę.

- Ten to ma wycucie sytuacji... - szepnął Max. - Zresztą całe to miejsce jest niezbyt odpowiednie na takie rozmowy.

Mówiąc to, spojrzął znacząco na Kathy, początkującą pielęgniarkę, która właśnie weszła do kuchennej wnęki, obok której stali, i układała coś w szafkach. Kathy opacznie zrozumiała jego spojrzenie.

- Ten remont już niedługo potrwa, niech się pan nie martwi, panie doktorze - pocieszyła go z uśmiechem.

Jakby na potwierdzenie jej słów, w drugim końcu korytarza rozległ się przenikliwy wizm wiertarki elektrycznej.

Paula uśmiechnęła się lekko.

- Masz rację, to nie jest chyba najlepsze miejsce.

- Trochę powiercą i przestaną - wtrąciła Kathy. - Przecież to nic takiego, pani doktor.

Kiedy wreszcie zostawiła ich samych, oboje się roześmiali. Paula ostatecznie zrezygnowała z wyjaśniania Maxowi, kiedy rozwiodła się z mężem, postanawiając tę sprawę odłożyć na później. Po chwili jednak przyszła refleksja: cóż to zmieni? Zyskała trochę czasu i co z tego? Przecież jej ciało się nie od-

mieni, nie powróci do stanu sprzed amputacji... W pewnym momencie i tak będzie musiała podjąć decyzję; będzie musiała postanowić, czy Maxowi ufa i jak wiele zamierza mu z siebie dać. Jak wiele może mu dać... Tak czy inaczej, za jakiś czas i tak będzie musiała powiedzieć mu prawdę.

Wróciła do domu z poczuciem, że niesie z sobą bardzo ciężki bagaż: dręczący problem, który musi ostatecznie przemyśleć do poniedziałku rano. Nigdy jeszcze nie czuła się wewnątrz tak rozbita i niepewna.

- Paula?

Telefon obudził ją w pół do dwunastej, ledwo zdążyła zasnąć.

- Tak. Słucham, co się stało? - spytała,

- Czy mogłabyś przyjechać - poznała głos Maxa - żeby asystować przy narodzinach czworaczków?

- To już?

- Tak. Skurcze są tym razem bardzo silne i regularne. Właśnie dzwonił do mnie Ben Liddell, ordynator oddziału noworodków. Musisz się pośpieszyć.

Paula ubrała się szybko i pięć minut później ruszała spod domu. W szpitalu zjawili się niemal równocześnie. Włożyli ochraniacze na buty, rękawiczki, fartuchy i maski. Dzieci miały przyjść na świat za pomocą cesarskiego cięcia, ale postanowiono nie podawać pacjentce pełnej narkozy, tylko zastosować znieczulenie lędźwiowe, by mogła zachować przytomność w czasie całego porodu.

Pani Carey leżała na stole, podłączona do kroplówki; z drugiej strony anestezjolog podawał jej środek znieczulający. Była spokojna i nieco zdeprymowana otaczającym stół tłumem.

Pan Carey, przeciwnie, zdawał się nie dostrzegać białych fartuchów tłoczących się wokół jego żony. Na jego twarzy widniał wyraz niemego przerażenia. W korytarzu czekały podgrzewane łóżeczka na kółkach, opatrzone numerami od jednego do czterech.

- To właśnie Ben i jego zespół - oznajmił Max, wskazując Pauli grupkę lekarzy myjących ręce i przebierających się w sterylne stroje.

Ponieważ na każde mające się narodzić dziecko przypadało z grubsza czterech lekarzy, Lisa Carey miała rodzić w obecności przynajmniej dwudziestu medyków.

- Minęły już trzydzieści trzy tygodnie - powiedział Max, gdy weszli do sali. - Pacjentka wczoraj miała ultrasonografię i wiemy już, że przynajmniej troje z całej czwórki będzie miało całkiem niezłą wagę.

- Proszę państwa, zaczynamy - oznajmił doktor Jeffrey Allan, lekarz położnik, i zespół przystąpił do pracy.

Pielęgniarki podprowadziły bliżej stołu wózek, którymi noworodki miały zostać przewiezione na właściwy oddział. Anestezjolog oświadczył, że pacjentka jest już znieczulona, chirurg zrobił cięcie - nie poprzeczne, jak zazwyczaj, lecz pionowe, by ułatwić dzieciom szybkie wydostanie się na świat.

Pierwsza pojawiła się dziewczynka.

- Ma na imię Georgia - powiedziała bez wahania pani Carey.

Georgia nie była duża, ale jak na dziecko urodzone niemal miesiąc przed czasem wagę miała zadowalającą.

- Musi ważyć ponad dwa kilo - rzekła Paula, przeczyszczając dziecku nos i gardło, żeby ułatwić oddychanie.

Obie pielęgniarki z oddziału noworodków potakująco kiwnęły głowami. Jedna z nich, Monica Seaman, lekko poklepała maleńką i po chwili rozległ się pierwszy płacz.

Lisa Carey uśmiechnęła się błogo, a jej mąż zerwał się z krzesła i pielęgniarki musiały go na nim posadzić z powrotem.

Krzyk dziecka jest dobrym znakiem, ale należy jeszcze dokładniej je przebadać. Paula i młody praktykant, Troy Wheeler, podłączyli je do monitora, by skontrolować pracę płuc i serca. Monica Seaman przykryła główkę noworodka czapczką, a potem do maleńkiej rączki podłączono kroplówkę, by uzupełnić zasoby płynów w organizmie.

W tym samym czasie na świat przyszło następne maleństwo. Druga dziewczynka była nieco mniejsza i otrzymała imię Hayley. Tym razem również akcja odbyła się błyskawicznie. Zespół opiekujący się Hayley sprawnie wykonał te same czynności, co zespół Pauli. Teraz akcja spowolniła się. Kolejne dziecko, mające przypaść Maxowi, było ułożone w nietypowej pozycji za żebrami matki i zablokowane ciałkiem ostatniego czworaczka.

- Możemy jechać - oświadczyła Paula i wózek z Georgią skierowano na korytarz.

Paula wyraźnie czuła całą doniosłość chwili: dziecko, które przed sobą miała, rozpoczynało oto swą pierwszą podróż w życiu. Wydobyte z ciepłego, bezpiecznego łona matki ruszało w świat; rozpoczynał się zupełnie nowy, nieznany rozdział.

- Zmierz ciśnienie i możemy kontynuować - usłyszała głos doktora Allana, a potem drzwi sali się zamknęły.

Po piętnastu minutach jedyny chłopczyk z całej czwórki pojawił się na oddziale noworodków. Trzy jego siostry leżały już w łóżeczkach. Jedna z nich, Audrey, mająca sporą niedowagę, została podłączona do respiratora. Paula, zajęta obserwacją dziecka, prawie nie zwróciła uwagi na wejście Maxa. Postawił wózek tuż obok Georgii.

- Alex, przywitaj się z siostrzyczką - powiedział serdecznym głosem i zabrał się do roboty.

Dopiero półtorej godziny później oddał chłopca w ręce Bena Liddella i jego lekarzy. Paula również skończyła wstępne badania i mogła wracać do domu. W rzeczywistości mogła to uczynić pół godziny wcześniej, ale coś ją powstrzymywało. Stała, omawiając z resztą zespołu stan dziecka, i cały czas śledząc ruchy Maxa.

W jego zachowaniu było coś wzruszającego; był nie tylko lekarzem spełniającym rutynowe czynności przy małym pacjencie, którego mu przydzielono. Był również... kimś w rodzaju maga, odprawiającego obrzęd wprowadzający nowo narodzonego w życie. Paula nie mogła oderwać od niego wzroku.

Wreszcie opuścili oddział i poszli się przebrać.

- Ben prosił, żebyśmy po drodze zajrzeli do państwa Carey i porozmawiali z nimi - odezwał się Max. - On zobaczy się z nimi później, kiedy Lisa zostanie przewieziona do swojego pokoju.

- Jak oceniasz te dzieci? - Spojrzała na Maxa pytająco, bardziej ufając jego diagnozie niż własnej.

- Twoja Georgia wygląda całkiem dobrze - odparł z namysłem. - Ma wszelkie szanse, żeby wrócić do domu razem z matką w połowie przyszłego tygodnia, pod warunkiem, że będzie ładnie jadła. Jej dwie siostrzyczki też są w dobrym stanie.

- AAlex...

Max ze skupieniem pochylił głowę.

- Tak, z Alexem jest problem. Nie było cię na sali i nie mogłaś tego wiedzieć, ale... musieliśmy go reanimować. Doszło do zatrzymania akcji serca. Wiesz, te kilka sekund, zanim znowu zaczął oddychać, te kilka straszliwych sekund...

- Tak, to się wydaje trwać wiecznie.

- A potem nagle sam zaczerpnął powietrza, zupełnie jakby postanowił żyć. Może sobie pomyślisz, że dramatyzuję, ale tak było naprawdę. Alex nagle zdecydował się, że będzie walczył. Po prostu wybrał życie.

W głowie Pauli zapaliło się światełko, tak jakby słowa Maxa nagle jej coś uświadomiły. Nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać, bo stali już w progu sali porodowej. Państwo Carey nadal tu byli. Lisa leżała podłączona do monitorów i kroplówki. Była bardzo wyczerpana; po tego rodzaju porodzie znacznie wzrasta groźba krwotoku i pacjentkę trzeba bez przerw monitorować.

Oboje byli tak oszołomieni tym, co zaszło, że nieuważnie wysłuchali krótkiego raportu Maxa o stanie zdrowia czworaków, i nie zadali nawet jednego pytania. Wizyta szybko dobiegła końca.

Przed szpitalem czatowała na nich ekipa telewizyjna. Kelly

Rainer, długonoga, jasnowłosa dziennikarka, wyrosła przed nimi jak spod ziemi z mikrofonem w ręku. Kamery musiały być włączone, bo z jej ust płynął nieprzerwany potok dziennikarskiego krasomówstwa.

- Po tym strasznym wydarzeniu, jakim dla nas wszystkich był niesamowity pożar, który strawił doszczętnie naszą najmłodszą dyskotekę, mamy teraz dla państwa bardzo krzepiącą wiadomość. W naszym mieście przyszły na świat pierwsze czworaczki! Panie doktorze - zwróciła się do Maxa - czy może pan powiedzieć naszym widzom, jak się czują nasi nowi oby-watele i ich dzielni rodzice?

Max zmarszczył brwi i zmrużył oczy pod zalewem światła.

- W tej chwili nie mogę ci nic powiedzieć, Kelly.

Jasnowłosa piękność nie zamierzała ustąpić.

- Przed chwilą w naszym miejskim szpitalu przyszły na świat czworaczki. To chyba możesz potwierdzić. Jak się czują? Czy żyją?

- Przykro mi, ale nie mam na ten temat nic do powiedzenia. Kelly spojrzała znacząco na kamerzystę.

- Wyłącz to.

- To nie było na żywo? - spytał Max.

- Nie, miało pójść później. Ale przecież... mogłeś coś powiedzieć, do cholery!

- Bardzo mi przykro, ale nie wiedziałem, że cię tu spotkam, i nic sobie nie przygotowałem.

- Ale... to tak pięknie kontrastowało z tą historią o pożarze! Naprawdę nie mógłbyś czegoś powiedzieć?

- Nie - odparł z irytacją. - Idź szybko do samochodu - zwrócił się do Pauli - ja sobie jakoś poradzę.

Czas już był najwyższy, bowiem na horyzoncie pojawiła się ekipa konkurencyjnej telewizji, zazdrosna o najnowsze nowiny dotyczące przyjscia na świat pierwszych czworaczek w Zumi. Paula zasłoniła ręką oczy i prześliznęła się bokiem w stronę parkingu, słysząc za sobą krótkie, lakoniczne wyjaśnienia Maxa.

Do domu dotarła kwadrans później. Nie wiedziała, jak się skończyła scena przed szpitalem i czy Max udzielił komuś wywiadu. Mogła się jednak założyć o każdą sumę, że tego nie uczynił. Z wolna nabierała pewności, że Max zawsze robi tylko to, na co ma ochotę, i że w każdej sytuacji potrafi postawić na swoim. Ta myśl uspokoiła ją i... nieco zaniepokoiła.

Wiedziała już, co zrobi; Max sam niechcący pomógł jej podjąć decyzję. Wybierze życie i będzie walczyła tak jak matki Alex.

- Zaufam Maxowi i wybiorę życie - powiedziała głośno, stojąc w ciemnym pokoju. - Znajdę w sobie odwagę i zawalczę o przyszłość.

Nie miała wątpliwości, że walka będzie trudna, ale wiedziała, że u boku Maxa warto jest walczyć o wszystko i że jest wielka szansa na zwycięstwo.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Weekend zakłóciły ponure wieści o ofiarach pożaru w miejskiej dyskotecie. Śmierć poniosły trzy osoby, kilkanaście zostało rannych. Paula bezpośrednio nie brała udziału w walce o życie poszkodowanych; wiadomości docierały do niej za pośrednictwem telewizyjnego programu jasnowłosej Kelly Rainer. Cała Zuma pogrążyła się w żałobie.

Rano, zgodnie z obietnicą daną Brianowi, zbadała małą dziewczynkę z podejrzeniem zespołu Downa i stwierdziła, że istotnie stan dziecka nie jest zadowalający. Pewne objawy - spłaszczony nos, nabrzmiałe powieki, lekko skośny kształt oczu, nienaturalnie duży język - mogłyby potwierdzać podejrzenie choroby, jednakże kardiolog dziecięcy nie znalazł anomalii w funkcjonowaniu serca dziecka, występujących u niemal czterdziestu procent pacjentów dotkniętych Downem. Paula zleciła dodatkowe badania i konsultację z Brianem postanowiła oddać na poniedziałek. Potem razem mieli porozmawiać z rodzicami dziewczynki.

W sobotę po południu, po krótkiej drzemce, zadzwoniła do pracowni ceramicznej, żeby się umówić na pierwsze zajęcia. Zatelefonowała też do zoo i zapytała, czy nie potrzebują wolontariuszy do pracy przy zwierzętach.

W poniedziałek rano zjawiła się w szpitalu z przekonaniem, że wszystko jakoś się ułoży. Poradzę sobie z pracą i poradzę sobie z Maxem, poradzę sobie ze wszystkim. Nie pozwolę, żeby

moje życie bezsensownie przemijało; nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami.

Kiedy Max spojrzał na nią w czasie porannej odprawy, odwzajemniła jego spojrzenie z uśmiechem. Max nie uczynił nic więcej i była mu za to wdzięczna. Mimo że nie działo się nic nadzwyczajnego, wyczuwało się między nimi jakieś tajemne porozumienie. Wyraźnie brzmiało w tonie, jakim zwracali się do siebie, widoczne było w każdym ruchu i każdym spojrzeniu; Max wymawiał jej imię jak najczulsze zakłęcie, pieścił ją wzrokiem i głosem... Nawet kiedy mijali się w korytarzu, robili to jakoś inaczej niż wszyscy.

Inni też to zauważyli. Deborah już w środku dnia zdybała Paulę we wnęce kuchennej i rzekła:

- To miłe ze strony Maxa, że z takim oddaniem pomaga ci poczuć się dobrze w nowej pracy...

Brian był bardziej bezpośredni. Gdy tylko skończyli konsultację poświęconą dziewczynce z podejrzeniem zespołu Downa, spojrzał na Paulę spod zmrużonych powiek.

- Jeśli mnie oczy nie mylą i widzę to, co widzę, to bardzo się cieszę. Max to wspaniały człowiek! Pasujecie do siebie.

Tak, Max jest wspaniały i ona nie zamierza dłużej czekać. Musi jak najszybciej wyjaśnić to nieporozumienie, jakie niezupełnie z jej winy narosło wokół jej rozwodu. Max również jest rozwiedziony.

Ciekawe, dlaczego rozstał się z żoną? Paula, ufając wszechwiedzy Deborah, przyłączyła się do niej w czasie lunchu, próbując czegoś się dowiedzieć.

- Kiedy Max się rozwiódł, pracowaliście już razem, prawda? - zapytała.

- Pracowaliśmy razem jeszcze zanim się ożenił!

- Tak? Myślałam, że nie jesteś tu od tak dawna...

- To wszystko trwało bardzo krótko. Zaledwie trzy lata, a rozwiódł się rok temu,

- Czyli dopiero co...

Dlatego tak niechętnie o tym mówi, zbyt go jeszcze boli. Pewnie właśnie z tego powodu tak natychmiast uwierzył, że Paula nie może się otrząsnąć po rozwodzie.

- Więc to nie była młodzieńcza miłość jeszcze z okresu studiów... - rzuciła Paula, chcąc zachęcić Deborah do dalszych niedyskrecji.

- Nie, ale taką też miał. Chodzili z sobą przez całe studia, a potem ona odfrunęła na jakąś posadę w wielkiej klinice. Była naprawdę świetna.

- Max też jest świetny.

Deborah zmrużyła jedno oko.

- Nie musisz go bronić, nie powiedziałam, że on jest gorszy. Ona po prostu była bardzo obrotna. I nie miała serca, sam mózg, zupełnie inaczej niż Max. Przez kilka lat nie miał nikogo, a potem nagle się ożenił. Takie nagłe małżeństwa na ogół się; nie udają.

- No tak... Chyba tak.

- A co z tobą? Ty też, zdaje się, już próbowałaś i wypadłaś z siodła?

- Można tak powiedzieć, ale to było już siedem lat temu - odparła w zadumie Paula. - Zresztą rozstaliśmy się jak przyjaciele.

- W takim razie jest nas troje, bo ja też mam już pierwsze małżeństwo za sobą. Dzięki Bogu, że Brian z Wandą jakoś się trzymają. Ale gdybyś tak miała jakiegoś wolnego faceta, który nie pali, lubi wycieczki rowerowe i przysadziste brunetki oraz jazz, to mnie z nim poznaj. Nie po to zostałam pediatrą, żeby doglądać tylko cudze dzieci!

- Będę pamiętała - odrzekła Paula machinalnie, mając głowę zajęta wyłącznie dwiema kobietami w życiu Maxa, o których wspomniała Deborah.

Po południu w szpitalu zjawiła się zaniepokojona Callie Herbert. W ramionach trzymała małego Thomasa.

- Boję się, że ma wirusowe zapalenie płuc - powiedziała zaraz w progu i weszła do gabinetu.

- Wirusowe zapalenie płuc? - powtórzyła Paula, lekko zdziwiona fachowością określenia. - Skąd to podejrzenie?

Callie Herbert delikatnie położyła dziecko na stole.

- Gorączkuje i jest bardzo niespokojny. Elizabeth była ostatnio przeziębiona. Myślałam, że to zwykłe przeziębienie, ale przecież to mógł być jakiś wirus. Starsze dzieci są bardziej odporne, ale niemowlęta... Słyszałam, że to może być nawet śmiertelne.

W jej oczach zakręciły się łzy.

- Zaraz go zbadamy - oznajmiła Paula.

Instynkt podpowiadał jej, że nie ma mowy o wirusowym zapaleniu płuc. Tego rodzaju wirus zwykle występuje w zimie i jesienią w chłodnych częściach kraju. W kwietniu w Arizonie raczej nie mógł się pojawić. Pani Herbert miała jednak rację: w przypadku niemowląt bywał wyjątkowo groźny i często, nawet po wyleczeniu, groził powikłaniami typu astmatycznego w przyszłości.

- Synek mojego brata przeszedł to w zeszłym roku - wyjaśniła Callie, potwierdzając tym samym podejrzenia Pauli, że wcześniej musiała się zetknąć z tego rodzaju schorzeniem. - Zachorował w grudniu, w samo Boże Narodzenie, oni mieszkają w Chicago. Gdyby go natychmiast nie zawieźli do szpitala, pewnie by umarł, tak im powiedzieli lekarze. Leżał potem długo na intensywnej terapii. To było naprawdę straszne, a na początku wyglądało jak zwykłe przeziębienie.

Callie zadrżała i błagalnie spojrzała Pauli w oczy.

- Błagam, pani doktor... Ja wiem, że nie powinnam tak mówić, ale bardzo proszę, żeby go pani zbadała wyjątkowo uważnie. Pani przecież wie, co to znaczy życie i jakie to bywa niepewne, sama pani przez to przeszła. Tak strasznie go kocham...

Paula pogłaskała ją uspokajająco po ramieniu, badając jednocześnie dziecko stetoskopem. Nie usłyszała nic niepokojącego; lekka gorączka mogła być wywołana przez zwykłe przeziębienie.

bienie. Płuca dziecka były czyste; zatkałe były jedynie górne drogi oddechowe. Na wszelki wypadek osłuchiwała Thomasa jeszcze raz, dokładnie zbadała serce, uszy i oczy.

- Wszystko w porządku, Callie - powiedziała do matki, która patrzyła na nią z przerażeniem. - Nie ma powodu do obaw. Jaką on miał ostatnio temperaturę?

- Trzydzieści siedem i pięć.

- W przypadku zapalenia płuc miałyby znacznie wyższą. To jest po prostu przeziębienie, stąd ta gorączka. Niemowlęta często miewają podwyższoną temperaturę. Proszę go obserwować i jeśli temperatura się podniesie, przywieźć go z powrotem do szpitala. W razie najmniejszych wątpliwości proszę do mnie dzwonić.

- Może dać mu coś na tę gorączkę.

- Ostatnio lekarze nie polecają zbyt szybkiego zbijania gorączki, bo to przedłuża chorobę. Gorączka jest objawem obrony organizmu. Słyszałam nawet, że niektóre matki specjalnie nie podają starszym dzieciom leków obniżających gorączkę, żeby utrzymać je w łóżku. W przeciwnym razie dziecko biega po całym domu i dłużej choruje. A teraz proszę mi powiedzieć, jak się pani czuje. Wszystko w porządku?

Callie uśmiechnęła się, już znacznie spokojniejsza.

- Tak. Po powrocie ze szpitala płakałam sobie przez kilka dni, ale to przecież normalne. Potem przypomniałam sobie, jak wielkie szczęście mnie spotkało, i zaraz się uspokoiłam. Przecież wyzdrowiałam, nie mam raka, urodziłam takie wspaniałe dziecko... - Łzy znowu pojawiły się w jej oczach i spojrzała przepraszająco na Paulę. - Przepraszam, ale ja teraz co chwila płaczę... Byłam niedawno u onkologa i wszystko jest w porządku. Nie mam raka!

- To cudownie! - Paula objęła ją i pocałowała. Poczuła, że jej również wilgotnieją oczy. Czyżby ten „symptom” był zaraźliwy?

- Zgłóście się za tydzień na badania kontrolne - powiedziała i szybko wyszła z gabinetu. Callie zaczęła ubierać Thomasa.

Na korytarzu spotkała Maxa. Spojrzał na nią uważnie i nie zdziwiło jej to; Max zawsze objawiał wyjątkową wrażliwość na jej nastroje.

- Coś się stało? - zapytał.

- Nie, na szczęście nic.

- Ale przecież widzę...

- Synek Callie Herbert nie ma wirusowego zapalenia płuc, a ona jest taka sympatyczna, jest świetną matką...

- Skoro tak mówisz... Nieczęsto spotyka się takie osoby.

- Owszem.

Paula westchnęła. Sytuacja Callie bardzo ją wzruszyła, a może wzruszyło ją... podobieństwo ich losu? Dlaczego właściwie ona nie miałyby mieć męża, rodziny, pięknego, zdrowego dziecka?

Max patrzył na nią wyczekująco.

- Jesteś pewna, że nic ci nie jest?

- Przestań tak wypytywać, bo naprawdę poczuję się gorzej!

- Gorzej? Czyli jednak coś ci jest.

- Tak, ale wszystko mi przejdzie, jak wreszcie spokojnie porozmawiamy.

- Może dziś wieczorem? Ale nie, zapomniałem, dziś masz pierwszą lekcję lepienia z gliny.

Uśmiechnęła się.

- Tak, dobrze zapamiętałeś.

- Jutro idę na kolację do siostry, ale może wpadniesz do mnie w piątek?

- Z przyjemnością.

- W takim razie do zobaczenia.

Delikatnie musnął palcem jej policzek i Paula poczuła, że się czerwieni. Odwróciła się i szybko odeszła. Nie zauważyła stojącej z boku Deborah.

- A wy znowu się... przekomarzacie? - zapytała znacząco Deborah, wychodząc z cienia i patrząc przekornie na Maxa.

- Doskonałe określenie - odparł zamyślony, a potem spój-

rzał na nią z nagłym ożywieniem. - Deb, chyba mogłabyś mi pomóc. Co Paula powiedziała ci o swoim rozwodzie?

Zajęcia w szkole rzemiosł artystycznych okazały się bardzo przyjemne i odprężające. Paula wraz z kilkoma innymi nowicjuszami zasiadła w obszernej sali, tęsknym wzrokiem spoglądając na garncarskie koła rzędem ustawione pod jedną ze ścian.

- Najpierw spróbujemy coś sobie ulepić ręcznie - oznajmiła prowadząca zajęcia Anita Hinde. - Na koła przyjdzie czas później.

Rozczarowani usiedli za długimi stołami i posłusznie zaczęli lepić niezdarne garnuszki i talerzyki z czegoś, co do złudzenia przypominało burą plastelinę. Kiedy wreszcie Anita pozwoliła im zbliżyć się do garncarskich kół i wprowadzić je w ruch, przekonali się, że sprawa wcale nie jest łatwa. Koła poruszały się szybko, nabierając prędkości za najlżejszym dotknięciem stopą, a glina wymykała się i kleiła do rąk, utrudniając stworzenie arcydzieła.

- Dlaczego wychodzi mi taki glut? - spytała Paula sąsiadkę, równie mozolnie zmagającą się z formą. - Może za bardzo ściskam?

Zaczęła wszystko od początku i spod jej rąk wyszła koszmarna, koślawa miseczka.

- Jak to się pomaluje i wypali, będzie może nawet ładne - pocieszyła ją sąsiadka.

Paula z powątpiewaniem spojrzała na dzieło swych rąk.

- Można by w tym zrobić dziurkę i zasadzić kaktus - powiedziała z nadzieją w głosie.

Wracała do domu wpół do dziesiątej, zadowolona nie tyle ze swoich osiągnięć artystycznych, co z faktu, że po raz pierwszy w życiu ręce ma zmęczone lepieniem z gliny, a nie podłączaniem rurek do skomplikowanych mechanizmów. Nawet koszulkę poplamioną różową farbą. Zamyślona, nie zauważyła samo-

chodu zaparkowanego przy krawężniku. Wjechała do garażu i wewnętrznymi drzwiami dostała się wprost do domu. Niecierpliwy dzwonek do drzwi wejściowych zadzwonił prawie natychmiast.

W wizjerze zobaczyła znajomą twarz.

Max.

Szybko otworzyła, czując pośpieszne bicie serca. Co on robi o tej porze na progu jej domu? Wiedział, o której kończy zajęcia, i pewnie na nią czekał... Dopiero teraz uświadomiła sobie, do kogo należy samochód zaparkowany przy krawężniku.

Max wtargnął do jej domu jak burza. Nie przywitał się, nie uśmiechnął.

- A teraz może mi wreszcie powiesz, jak to jest z tym twoim rozwodem i dlaczego ci to przeszkadza w normalnym życiu. Deborah powiedziała mi, że rozstałaś się z mężem siedem lat temu. Jak długo zamierzasz się nad tym rozczulać? Całe życie? Musisz wymyślić coś innego, bo ja w to nie uwierzę. Powiedziałaś, że musimy porozmawiać, no to wreszcie rozmawiajmy. Słucham cię.

Poczuła, że drży, i wiedziała, że Max to widzi. Max zawsze wszystko widzi i wyczuwa. Nie wiedziała, czy to dobrze, czy też źle. Gotówjeszcze wyczuć jej rosnące przerażenie.

Nadeszła godzina prawdy i już nic nie może jej odwlec. Nabrała powietrza i postanowiła rzucić się na głęboką wodę.

- Wejść do środka - powiedziała.
- Przecież już wszedłem.
- To wejść dalej. Napijesz się kawy albo czegoś innego?
- Nie chcę kawy! Skończ wreszcie z tymi unikami!
- Nie stosuję żadnych uników. Powiedziałam, że chcę z tobą porozmawiać, i właśnie próbuję...
- Zyskać na czasie, prawda? I znaleźć jakąś inną wymówkę!
- Nie! To nieprawda! Ja nic nie...
- Chcę wreszcie poznać prawdę. Chcę, żebyś mi powiedzia-

ła coś konkretnego, coś, czego można się uczeplić. Może ty jesteś... Nie, to niemożliwe. Może masz męża albo jesteś z kimś w ciąży? Co jeszcze można wymyślić?

- Nie denerwuj się tak.

Wiedziała, że to jej wina, i że Max ma prawo się denerwować. Oboje czas jakiś temu doszli do wniosku, że ich spotkanie nie jest bez znaczenia i że nie czeka ich przelotny romans ani krótka przygoda. Powinna była powiedzieć mu prawdę już wtedy, podczas wycieczki do kanionu. Nie zrobiła tego, nie miała siły.

Max spostrzegł, że drżającą rękę, i nagłym ruchem przyciągnął ją do siebie.

- Boisz się mnie? W takim razie może rzeczywiście lepiej dać sobie spokój...

Bliskość jego ciała powiedziała jej, co może stracić, jeśli zaraz nie zdecyduje się na powiedzenie mu prawdy. Odsunęła się od niego i spłótła dłonie na piersi.

- Zaraz wszystko ci powiem, tylko lepiej mnie nie dotykaj.
- Dobrze.

Mocniej spłótła rękę, nie zdając sobie sprawy z symbolicznej wymowy gestu, którym osłaniała piersi.

- Kilka lat temu, dokładnie pięć i pół roku temu, zachorowałam na raka piersi. Miałam mastektomię, a potem chemioterapię. Postanowiłam nie bawić się w implanty. Nie mam jednej piersi, muszę bardzo uważać i wystrzegać się infekcji. Usunięto mi węzły chłonne po lewej stronie, dalej mam kłopoty z lewą ręką. Na miejscu piersi mam dużą bliznę.

Max w dalszym ciągu patrzył na nią pytająco.

- I co z tego?

- Jak to co? Właśnie dlatego...

- Chcesz powiedzieć, że to wszystko? Że to jedyny powód...

- Nie wystarczy ci? Uważasz, że to mało?

- Czy zostałam wyleczona, czy może masz przerzuty?

- Nie. Od pięciu lat jest spokój.

Usłyszała westchnienie ulgi.

- To znaczy, że myślałaś... - Max objął ją delikatnie - myślałaś, że skoro nie masz jednej piersi, to ja nie będę cię chciał, tak? To przecież czyste wariactwo!

- To nie wariactwo, to potworny strach.

- Wiem, i dlatego mówię ci wyraźnie: bardzo cię pragnę, Paula.

- Nie powiesz mi chyba, że to nie jest dla ciebie szok. Nie powiesz mi, że to nic nie zmienia!

Oczy Maxa rozbłyły.

- Właśnie, że powiem. Uważnie patrz na moje wargi. To nic nie zmienia! Nie widzę żadnej różnicy!

Podbródek Pauli drgnął. Dumnie uniosła głowę.

- Przestań! Nie mów takich rzeczy! To... takie upokarzające. Powiedz mi wreszcie prawdę.

- Prawdę? - powtórzył. - Myślisz, że zamierzam zrezygnować z tego, co między nami jest, z takiego błahego powodu?

- Pokręcił głową. - Nigdy.

- Wielu mężczyzn tak by postąpiło.

- Ja nie jestem jednym z „wielu mężczyzn”, Paula. To chyba jakiś obłąd! Przecież gdybyś mnie zapytała, czy wolałbym, żebyś miała obie piersi, odpowiedziałbym: „Tak, oczywiście”. Przecież nie mogę powiedzieć: „Wiesz, to fajnie, że miałaś raka”. Ale kiedy pytasz, czy to jakoś wpływa na to, co między nami jest, odpowiadam: „Nie!”. Ta wiadomość w żaden sposób nie wpłynęła na to, co czuję w tej chwili, na to, co czuję od chwili, kiedy cię zobaczyłem. Tylko w jeden sposób mogę ci to udowodnić...

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

- Jest tylko jeden sposób... - powtórzył cicho.

Zrozumiała go dopiero wtedy, kiedy poczuła jego wargi na ustach. Oddała mu pocałunek, cały czas trzymając ręce splecione na piersi. Max objął ją, nie rozplatając ich, i zamknął ją całą w ramionach. Może nie było jej zbyt wygodnie, ale nigdy jesz-

cze nie czuła się tak bezpiecznie. Całowali się długo, bez niecierpliwości. Paula czuła, jak jej ręce z wolna same się rozplatają i obejmują całującego ją mężczyznę. Po chwili usłyszała jego szept:

- Widzisz, jak to jest... Wszystko dobrze, prawda?

- Tak...

- Możemy zrobić krok dalej? Błagam, nie mów „nie” ze strachu.

- Ja...

- Powiedz „nie”, jeśli nie chcesz, ale nie ze strachu.

- Nie chcę powiedzieć „nie”, ale bardzo się boję.

- Przystaniesz się bać, strach potem minie, zobaczysz.

Bez słowa skinęła głową, kryjąc twarz na jego ramieniu.

- Powinniśmy spróbować, przekonasz się, że minie.

Nie odpowiedziała; w milczeniu skinęła głową.

- Gdzie śpisz?

Bez słowa zaprowadziła go do sypialni; gdy stanęli obok łóżka, poczuła pulsowanie w skroniach. Słabe światło sączące się z korytarza ledwo rozświetlało mrok.

- Po ciemku, prawda? - zapytał, zawierając w tym pytaniu wszystko, co sama chciała mu powiedzieć, ale nie wiedziała jak.

- Tak - szepnęła - po ciemku...

Nie powiedział już nic więcej, tylko zaczął całować jej twarz, oczy, czoło, skronie i włosy. Po chwili usłyszała jego cichy śmiech.

- Czym ty tak ślicznie pachniesz? Gliną?

- Chyba tak...

Ona również się roześmiała. Zdumiewające! Nigdy by jej nie przyszło do głowy, że będzie się śmiała na chwilę przed pierwszą nocą spędzoną z Maxem! Przecież to cudowne!

- Pobrudziłam się przy tym garncarskim kole. To było bardzo zabawne.

- Czy to znaczy, że dopuszczono was do garncarskiego koła już na pierwszej lekcji?

- Właśnie tak.

- Nie znam się na tym, ale chyba używaliście za dużo wody, skoro to tak chlapało!

- Woda jest konieczna. Inaczej nie można nadać przedmiotowi odpowiedniego kształtu, bo glina jest zbyt sucha - wyjaśniła przemądrzałym tonem.

- O, przepraszam, a co ci wyszło z tej mokrej gliny?

- Sam zobaczysz. Jak będziesz niegrzeczny, dostaniesz to na urodziny.

Max przesunął ustami po jej karku.

- Tu też są chyba jakieś ślady twoich artystycznych wyczynów.

Potem, zanim zdążyła się zorientować, do czego zmierza, poczuła, że Max dotyka jej piersi. To znaczy nie piersi, tylko wypchanego z jednej strony stanika, który nosiła przez cały dzień i który na noc zdejmowała jak kolejną sztukę ubrania.

- To sztuczne - rzekła szybko, chcąc mu zaoszczędzić rozczarowania. I dodała, zapominając, że przed chwilą już to mówiła: - Nie chciałam robić operacji plastycznej.

Dotyk Maxa zrobił się jeszcze bardziej czuły.

- Tak jest dobrze - powiedział. - Nie czuję nic dziwnego.

- Ty nie czujesz, ale ja...

- Ty jeszcze nie miałaś szansy czuć czegokolwiek. Może to zdejmujemy?

Zdjął jej koszulkę i siłą się powstrzymała, by go nie odepchnąć. Max na pewno to poczuł, ale nic nie powiedział. Uniosła lewą rękę i objęła go za szyję. Jeszcze pięć lat temu nie byłaby w stanie tego zrobić. Nie mogła tak wysoko unosić ręki; dopiero po miesiącach uciążliwych ćwiczeń doprowadziła do tego, że ręka stała się sprawna, a zasięg ruchu prawie normalny. Zrzuciła spódnice i stała teraz przed nim w staniku.

- Max... - szepnęła błagalnie.

Czuła, jak ogarnia ją przerażenie, lecz nie mogła się wycofać. Wiedziała, że Max jest gotów zdjąć jej stanik, ale wolała zrobić

to sama. To było mniej upokarzające i mniej straszne. Rozpięta go i zastygła w ciemności, drząc i czując oszalałe bicie serca. Drzwi wiodące na korytarz były teraz zamknięte i w sypialni panował całkowity mrok.

Co Max myśli? Czy zląkł się w ostatniej chwili i żałuje, że doprowadził do tego, co się dzieje? Poczowała lekki ruch jego ręki i stanik opadł na ziemię. Zamarła w oczekiwaniu.

- Nikt nie jest doskonały - powiedział cicho Max.

Ujął jej rękę i powiodł nią po swoim ciele. Na jego lewym przedramieniu wyczuła niewielką bliznę.

- To stało się przy przechodzeniu przez płot, miałem wtedy dziesięć lat, a tu - poczuła, że jej ręka zsuwa się na jego udo - miałem ogromny wrzód. Nikt nie jest doskonały, Paula.

- To nie to samo...

- Wiem, ale to ci pozwoli zrozumieć. Jak twoje palce odbierają defekty mojego ciała? Nie odsunęłaś się, nie poczułaś niechęci, prawda?

Delikatnie dotknął jej prawej piersi; zareagowała natychmiast. Paula ze zdumieniem poczuła, jak podniecenie i napięcie przenosi się na lewą stronę ciała, a miejsce, gdzie kiedyś była lewa pierś, zaczyna pulsować życiem. Max przytulił ją do siebie i zachłysnęła się nowością nieznanego przeżycia. Skok na głęboką wodę... Skok ze spadochronem w pustkę nieba... To wszystko było niczym w porównaniu z doznaniem, jakie teraz stawało się jej udziałem.

To było... wspaniałe, to mogło być naprawdę wspaniałe, gdyby choć na chwilę mogła przestać się bać. Max drgnął i poczuła, co dzieje się w jego ciele. Pożądał jej tak bardzo, że wystarczyło, by poczuł ją przy sobie, by się do niego przytuliła...

- Masz takie cudownie gładkie ciało, Paula. Pamiętam, jak po raz pierwszy, tam w kanionie, dotknąłem twoich nóg. Ramiona masz tak samo piękne. - Jego dłonie wędrowały po niej, jakby badały nieznaną ląd. - Cudowne, jedwabiste...

Paulajęknęła; nie wiedziała, że jej ciało ma tyle tak bardzo wrażliwych miejsc. Chris zazwyczaj pieścił tylko jej piersi. Max przebiegał dłońmi całą powierzchnię jej skóry, pobudzając ją swym pożądaniem. Wziął ją na ręce i położył na łóżku. Reszta była nieznaną dotąd ekstazą i uniesieniem.

Później oboje byli bardzo onieśmieleni.

- Tak... - powiedział wreszcie - to jest właściwy moment...

- Na co?

- Żeby ustalić, o której godzinie wyrzucisz mnie z domu.

, - Musisz iść?

- Zapytaj raczej, czy chcę. Nie, wcale nie chcę.

- To zostań, bo tak jest...

Cudownie i bezpiecznie.

- A o której coś zjemy?

Paula wybuchnęła śmiechem.

- Jesteś głodny?

- Mam ochotę na lody.

- Nie mam lodów - przyznała z żalem.

To absurdatne, ale było jej naprawdę strasznie przykro, że nie pomyślała o tym, by przygotować lody.

- Może w takim razie chociaż krakersy i jakiś ser?

- To się znajdzie.

- Tak czy inaczej, trzeba będzie się podnieść z łóżka...

- To ci tylko zaostrzy apetyt.

Max przeciągnął się.

- Następnym razem zjem przedtem albo będę jadł w trakcie. Albo przygotujemy sobie jakieś zapasy na nocnym stoliku.

- Następnym razem... - powtórzyła rozmarzona, upajając się brzmieniem tych dwóch słów. - Następnym razem...

Bardzo pragnęła „następnego razu”. Gdyby tak nie było, nie zgodziłaby się na „pierwszy raz”. Nadal jednak odczuwała niepokój i lęk, choć nie wiedziała, dlaczego tak się dzieje. Przecież już wszystko mu powiedziała, najgorsze miała za sobą. Pozwo-

liła, by jej dotknął, zrobił to i wszystko było dobrze. Dlaczego zatem boi się, zamiast bez zastrzeżeń rozkoszować się szczęściem?

Max szybko zasnął, a Paula leżała w ciemnościach z szeroko otwartymi oczami. Potem wreszcie i ona zasnęła.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Budzenie!

Muzyka z radia popłynęła dokładnie o szóstej trzydzieści i Paula zerwała się z łóżka. Pokój pełen był światła. Zwykle o tej porze nie jest tak jasno!

Max leżał nieruchomo, złocisty blask oświetlał regularne rysy jego twarzy i opływał ciało. Paula zapatrzyła się w niego i drgnął. Otworzył oczy i zrozumiała, że straciła okazję, by wymknąć się niepostrzeżenie. Teraz była w pułapce. Naciągnęła prześcieradło pod samą szyję, żeby się skryć przed jego wzrokiem. Najlepiej byłoby, gdyby tak szczelnie zasłonięta mogła się przemknąć do łazienki.

Nie, tego nie wolno jej zrobić. A może jednak... Ranek po miłosnej nocy zawsze jest sprawdzianem tego, co naprawdę ludzi łączy i jeśli Max zamierza czegoś żałować, trzeba mu dostarczyć argumentów. Właśnie teraz, bez osłony litościwej ciemności...

Max przeciągnął się i spojrzał na zegar.

- Już wpół do siódmej? - Zamrugał powiekami i w chwilę potem był już kompletnie rozbudzony. - Muszę iść!

- Tak, rozumiem - odparła, siedząc nieruchomo niczym mumia szczelnie zawinięta w prześcieradło; czuła, że kocha go do nieprzytomności i że nienawidzi jasności dnia.

- Wziąłem wczoraj do domu pewne notatki, muszę jeszcze po nie wpaść, a w szpitalu czekają pacjenci - wyjaśnił.

- Nie musisz mi nic tłumaczyć, Max.

Sama też miała na rano zapisanych pacjentów, a ponadto była umówiona z dekoratorem wnętrz, który miał jej pomóc zdecydować, co zrobić ze ścianami jej nowego mieszkania. Położyć tapety, czy je po prostu pomalować? A jeśli tak, to na jaki kolor?

- Miło by było zjeść razem śniadanie w łóżku...

Max wyciągnął rękę i dotknął karku Pauli.

- Chyba jednak... - zeszywniała - odłożymy to na przyszły raz.

- Mam nadzieję.

Czerwona cyfra na maleńkim ekranie budzika zmieniła się z dwójki na trójkę. Muzyka obudziła ich już trzy minuty temu. Paula niemal widziała myśli Maxa i jego wahanie. Zdecydował się wreszcie, usiadł na łóżku i spojrzał na nią.

- Mogę wziąć prysznic?

- Ależ oczywiście! - odrzekła. - Czyste ręczniki są w łazience.

- Pójdiesz ze mną?

Iść z nim? Brać prysznic razem? Nigdy!

- Nie, posiedzę sobie jeszcze.

Max skinął głową, udając, że go przekonała.

Udało się. Paula poczuła ulgę i nawet zdołała się uśmiechnąć do niego. Max wstał i poszedł w stronę łazienki. Nadsłuchiwała potem, czekając, aż rozlegnie się szum płynącej wody. Gdy wreszcie się doczekała, zerwała się z łóżka i szybko ubrała, unikając patrzenia na swoje odbicie w lustrze. Dopiero gdy była gotowa, zerknęła w nie, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Bluzka układa się dobrze, nic nie widać, nikt by się nie domyślił...

Przecież Max już wszystko wie; nic nie musi podejrzewać. A jednak... A jednak istnieje wielka różnica pomiędzy „wiedzieć” a „zobaczyć na własne oczy”. Tyle nauczyło ją światło dzienne.

Związek oparty na seksie to coś więcej niż jedna noc, a zwią-

zek oparty na czymś głębszym to więcej niż tylko seks. To bycie razem bez skrępowania, z całkowitym zaufaniem; to czucie się dobrze w każdej chwili życia. Branie prysznic, kiedy on myje zęby... Wchodzenie do sypialni bez pukania, kiedy on się przebiera... Czy tak potrafię? I czy Max tak potrafi?

Zaufaj mu, powiedział jej głos serca.

Dzień, który potem nastąpił, był nieprzerwanym pasmem szczęścia. Dniem czułych uśmiechów i znaczących spojrzeń. Paula czuła się tak szczęśliwa jak nastolatka po pierwszym pocałunku z ukochanym chłopcem. Gotowa uściskać cały świat...

Nic nie mogło zepsuć jej nastroju. Ani piętnastolatek, któremu trzeba było wypalić trzy kurzajki, ani pretensjonalny dekorator, ani nawet rozhisteryzowani rodzice, którzy zrobili awanturę w poczekalni, a potem w jej gabinecie, bo jakiś kaszlący czterolatek zbyt blisko podszedł do ich sześciomiesięcznej cudownej córeczki i „na pewno na nią chuchnął”.

Max był w równie błogim nastroju. Śmiał się i żartował z Brianem i Deborah, i nawet lustrzane okulary, które włożył, wychodząc na lunch, nie potrafiły zasłonić błysku w jego oczach. Po południu Deborah nie wytrzymała:

- Moglibyście się chyba podzielić z resztą śmiertelników?

- Czym mielibyśmy się podzielić? - zapytał Max, a Paula odwróciła twarz, by ukryć rumieniec.

- Tym czarodziejskim napojem, którego się napiliście wczoraj. Powiedzcie chociaż, jak to się nazywa, to pójde i sobie kupię.

- Szczęścia nie kupuje się w aptece, pani doktor - zganiła Max.

- A więc... to jest...

- Nic nie powiedzieliśmy!

Liczba mnoga wyjaśniła Deborah wszystko.

- Teraz rozumiem! Z góry was uprzedzam, że wesele beze mnie to nie jest prawdziwe wesele!

Zniknęła wezwana do kolejnego pacjenta, zanim zdążyli coś powiedzieć. Kiedy wyszła, wymienili spłoszone spojrzenia.

- Myślisz, że musimy wszystko publicznie ogłosić? - zapytał Max.

- Chyba nie, Deborah zrobi to za nas - odrzekła cicho Paula.

- Przepraszam...

- To nie twoja wina.

- Wiem, ale...

- Lubię Deborah, ale nie chcę...

- Nie chcesz tak bardzo się śpieszyć, prawda?

- Właśnie.

Idąc korytarzem do swego gabinetu, Paula czuła, że w ich rozmowie było coś, co ją zabolowało. Max powiedział to tak, jakby cała sprawa należała wyłącznie do niej. To „ona” nie chce się śpieszyć, to „ona” potrzebuje więcej czasu, a nie - „oni”, oni oboje, razem. Ten skromny zaimek uświadomił jej, że jest ze swoim problemem sama. To ona miała raka i ona straciła pierś, to ona ma decydować i nikt jej nie pomoże.

Radość i szczęście ulotniły się w jednej chwili niczym woda ze spalonej letnim słońcem suchej ziemi. Jednocześnie jednak jakiś głos w duszy Pauli szepnął, że powinna uwierzyć Maxowi.

Zawsze uwielbiała pływać i często to robiła; zaraz po przyjeździe do Zumy zamierzała nawet znaleźć jakiś klub sportowy, gdzie mogłaby regularnie korzystać z basenu. W październiku, w czasie wizyty u rodziców na Florydzie, pływała godzinami, ubrana w szyty na miarę kostium. Dziś miała pływać z Maxem...

Po pierwszej wspólnie spędzonej nocy każda nowa sytuacja jest na ogół sprawdzianem i rodzajem konfrontacji; w przypadku Pauli było to tym bardziej oczywiste.

Zdenerwowana i pełna lęku przyjechała o szóstej pod jego dom położony wśród wzgórz św. Izydora. Kostium kąpielowy

włożyła na siebie już w domu, pod kwiecistą, lekką sukienkę. Wzięła też rzeczy na zmianę. Max otworzył jej drzwi, ubrany w spodenki kąpielowe; na ramiona miał narzuconą koszulę z krótkimi rękawami. Przeszli przez dom i wyszli wprost do ogródka, gdzie mieścił się basen. Tam Max objął ją i lekko pocałował w usta.

- Od czego wolisz zacząć? Najpierw popływamy czy napijemy się czegoś? A może jedno i drugie równocześnie?

- Jak to?

- Mam taki dekadentcki przyrząd, taki pływający fotelik, na którym jest miejsce na szklankę lub kieliszek...

- To chyba nie dla mnie. Wolałabym, jeśli można, napić się czegoś na suchym lądzie.

Przed samą sobą musiała przyznać, że przede wszystkim chce odwlec moment zrzucenia sukienki i wejścia do wody. Mimo ciepłego powitania, czuła się dość niepewnie.

- Zaraz ci przygotuję.

Max wrócił po chwili ze szklankami w dłoniach. Przyniósł wilklinowy fotel bliżej ogrodowego krzesła, na którym siedziała Paula, i wznosił toast.

- Za długie, gorące lato.

Uśmiechnęli się do siebie i wypili. Potem zapadła krępująca cisza. Paula postanowiła ją przerwać; nie może przecież siedzieć tak nad brzegiem basenu niczym marionetka, ze sztucznym uśmiechem na twarzy...

Nie, nie potrafię, nie potrafię wykrztusić słowa, bo stale myślę, jak to będzie, kiedy wreszcie będę musiała zdjąć tę sukienkę! Będzie na mnie patrzył, starannie unikając patrzenia na mój biust... Max spoglądał na nią, pijąc drinka, i czuła, że myśli o ich wspólnej nocy. Dotykał jej ciała, ale go nie widział...

Dźwięk pośpiesznych kroków na kamiennej ścieżce oboje powitali z westchnieniem ulgi.

- Zaprosiłeś kogoś? - spytała z nadzieją w głosie.

- To ty, Suzanne? - zawołał Max.

Zza żywopłotu wyszła korpulentna brunetka.

- Dzięki Bogu, że jesteś, Max! Usłyszałam głosy w ogrodzie i postanowiłam przyjść.

Jakie głosy, pomyślała Paula, przecież od dobrych kilku minut nie powiedzieliśmy słowa.

- Poznaj Paulę - rzekł Max i gestem poprosił, by podeszła bliżej.

Suzanne lekko zmarszczyła brwi.

- To Paula?

- Doktor Nichols jest naszym nowym lekarzem - wyjaśnił i twarz Suzanne lekko się rozjaśniła.

- Miło panią poznać - powiedziała. - Max coś wspominał o nowym lekarzu, ale... Posłuchaj - zwróciła ku niemu głowę - mam do ciebie sprawę.

- Chodzi o Megan? - zapytał bez zdziwienia w głosie.

- Tak. Przepraszam, ale czy mógłbyś ją zobaczyć?

- Oczywiście.

Suzanne była niska, okrągłutka i przypominała lalkę; podobieństwo to chyba celowo podkreślała infantylnym strojem i szczebiotliwym głosem. Od czasu do czasu rzucała powłóczyście spojrzenie spod nienaturalnie długich rzęs. Była bardzo kobieca, jak na gust Pauli nawet nieco zbyt kobieca. Zupełnie jak taka grubsza lalka Barbie, pomyślała Paula i zrobiło jej się wstyd. Nigdy dotąd nie bywała złośliwa, to wszystko z powodu tego zdenerwowania.

Nie bardzo wiedząc, jaka rola przypada jej w odgrywanej scenie, nerwowo pociągnęła łyk ze swojej szklanki. W tej samej chwili Max zwrócił się ku niej.

- Megan, córeczka Suzanne, cierpi na astmę - wyjaśnił. - Suzanne doskonałe sobie z tym radzi, ale nieraz potrzebuje pomocy specjalisty. Przepraszam, ale będę musiał tam pójść.

- Nic nie szkodzi.

- A może poszłabyś z nami?

Suzanne nie wyglądała na zachwyconą jego propozycją.

- Dwóch lekarzy naraz? Megan rzeczywiście nie będzie mogła narzekać na brak opieki.

Max wszedł na chwilę do domu po stetoskop, a potem Suzanne dróżką wiodącą pomiędzy pustynnymi roślinami zaprowadziła ich do siebie. Mieszkała w sąsiedniej willi i ich ogródki się stykały. Miło jest mieć takiego sąsiada... Nieźle jest mieć taką fertyczną sąsiadkę...

Mała Megan siedziała na krzesełku, głośno oddychając. Obok na stoliku stał inhalator; Suzanne wskazała na niego ręką.

- Inhalowałam ją już kilka razy, ale nie pomogą. Pewnie znowu bawiła się z kotem.

- Ja się z nim nie bawiłam - wykrztusiła Megan. - Podeszłam tylko, żeby mu powiedzieć dzień dobry, nawet go nie dotknęłam.

- Musiałaś, kochanie - rzekła Suzanne, delikatnie dotykając jej rączki. - Gdybyś go nie głaskała, nie byłabyś w takim stanie.

- Nawet go nie dotknęłam!

Max pochylił się nad dziewczynką.

- Megan - powiedział poważnym tonem - myślę, że będziesz musiała rozstać się ze swoim kotem.

Suzan wzruszyła ramionami.

- Wiem, ale ja nie mogę tego zrobić. Mistry należy do rodziny, nie mogę tak po prostu oddać go komuś obcemu! On mieszka w ogrodzie, gdyby Megan go nie dotknęła...

- Ja wcale go nie dotknęłam!

- Kochanie, nie denerwuj się tak. Max, może trzeba ją zawieźć do szpitala?

Max osłuchiwał płuca dziewczynki, a potem spojrział jej w oczy.

- Nie chcesz się rozstawać ze swoim kotem, prawda?

- Ja będę płakała...

- Wiem.

- Koty nie lubią, jak się je przenosi.

- Misty może najakiś czas przeprowadzić się do mnie. To chyba niezły pomysł, co?

- Będę mogła przychodzić na niego popatrzeć?
- Nie, na razie nie, ale będzie w dobrych rękach.

Suzanne spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Naprawdę go weźmiesz, Max?
- Tak, jeśli się zgodzisz.
- Ja... muszę się zastanowić.
- Zastanów się, a tymczasem...

Polecił Megan wykonać kilka ćwiczeń oddechowych i jeszcze raz ją osłuchał. Atak był opanowany i dziecku nic już nie groziło. Paula doskonale rozumiała niepokój matki, ale jej reakcję uznała za nieco przesadzoną. Nie mogła oprzeć się myśli, że Suzanne mniej by się śpieszyła po lekarza, gdyby nie mieszkał w sąsiednim domu i... nie był tak przystojny jak doktor Costain.

- Nie wiem, skąd się biorą te ataki - ciągnęła Suzanne ze skargą w głosie. - Sama już nie wiem, co robić. Nieraz po prostu siedzimy sobie, kota wcale nie ma w pobliżu, a tu proszę, nagle zaczyna się dusić!

Paula spojrzała na stolik stojący obok krzeselka dziewczynki. Dostrzegła torebkę po chipsach.

- Czy córka to przed chwilą jadła?
- Tak, zupełnie oszalałyśmy na punkcie tych chipsów! Dwie samotne dziewczynki muszą mieć od czasu do czasu jakąś przyjemność! - zaszczebiotała Suzanne i zerknęła na Maxa, który w odpowiedzi uśmiechnął się.

- Czy miała robione testy na glutaminian sodu?
- Na co?
- To częsty składnik chipsów - wyjaśnił Max. - Bywa silnie alergiczny. Nie jestem lekarzem Megan, więc nie wiem, jakie testy jej robiono. Może ty pamiętasz, Suzanne?

Suzanne przecząco pokręciła głową.

- Zawsze uważałam, że to kot. Tak mi powiedziano.

- Kocia sierść nie wyklucza innych alergenów.
- O Boże! Tylko tego mi brakowało! - jęknęła Suzanne. Paula spojrzała na nią.

- Przestrzeganie diety jest sprawą dość prostą...

- Nie dla każdego - zaproponowała Suzanne. - Wiem coś o tym.

- Chciałam powiedzieć - ciągnęła Paula - że kiedy jest to konieczne, nie jest tak trudno powstrzymać się od jedzenia niektórych rzeczy. Można je zastąpić czymś innym, na przykład owocami...

- Och, ale ja i tak od czasu do czasu skubnę sobie coś niezdrowego. Wybaczysz mamusi, skarbie,-prawda? - Suzanne roześmiała się perliście i pogłaskała córkę po głowie.

- Tak, mamusiu - odrzekła grzecznie dziewczynka.

- Musisz koniecznie porozmawiać z lekarzem prowadzącym, Suzanne - dodał Max poważnie. - Trzeba koniecznie sprawdzić, na co Megan jest jeszcze uczulona.

Suzanne lekko dotknęła jego ramienia. Dłoń miała bardzo białą i bardzo wypielęgowaną.

- Och, wiem, Max - rzekła pieszczotliwym głosem, patrząc mu w oczy spod długich rzęs - i bardzo ci dziękuję. Nie wiem, co ja bym bez ciebie zrobiła. Chyba zapiszę Megan do ciebie.

- Mam bardzo dużo pacjentów i chyba nie mógłbym...

- Ale ja tak proszę... - Suzanne zatrzepotała rzęsami.

- W takim razie, dobrze. Dla ciebie zrobię wyjątek.

Suzanne zaproponowała im drinka, lecz całej jej zachowanie świadczyło o tym, że gdyby mogła, pozbyłaby się Pauli. Max podziękował; Suzanne odprowadziła ich do żywopłotu.

- Nie chciałabym przeszkadzać, ale może zajrzę do ciebie jutro.

- Dobrze.

- Bardzo ci za wszystko dziękuję. Z tymi chipsami to straszne. Nie wiem, jak się ich wyrzeknę.

- Zawsze ci służyć pomocą.

Kiedy wrócili do Maxa i znowu usiedli nieopodal basenu, Max spojrzął na Paulę pytająco.

- I co o tym sądzisz?

Ton jego głosu wskazywał na to, że ma na myśli sprawy zawodowe; Paula jednak nie mogła się powstrzymać.

- Dajesz się wykorzystywać. - Dopiero po fakcie stwierdziła, że zabrzmiało to fatalnie. - Przepraszam - dodała szybko. - Nie chciałam, tak mi się wyrwało. Co do astmy...

Max skrzywił się.

- Nie masz za co przepraszać. Sam wiem, że mnie wykorzystuje.

- Nie przeszkadza ci to?

- Po prostu dałem się wciągnąć. Na początku to były tylko takie zwyczajne sąsiedzkie sprawy: a to trzeba było coś pożyczyć, a to przestawić albo przesadzić, i tak dalej. Teraz robi się coraz cieżniej, sam to widzę. Z drugiej jednak strony, Suzanne niedawno się rozwiodła i potrzebowała przyjaznej duszy. Podobno ma niedługo wrócić do Kalifornii; był tu nawet jakiś pośrednik, interesował się domem. Jeśli Suzanne się nie wyprowadzi, będę musiał jakoś ją utemperować. Ma już jednego lekarza i nie zamierzam się wtrącać do jego terapii. Ale... zapomnijmy o Suzanne. Ona się nie liczy.

Powiedział to takim tonem, że Paula natychmiast poczuła ulgę.

- Naprawdę?

- Przysięgam.

Spojrzała na jego usta.

- Może popływamy?

- Tak! - zawołała z entuzjazmem, czując, że teraz rzeczywiście ma na to ochotę.

Max zdawał sobie sprawę z jej zdenerwowania; sam też był niespokojny. Działo się między nimi coś niezwykłego i ulotnego. Coś, co budować trzeba wiele dni i lat, a może nawet całe życie...

Jedna noc to nie wszystko, ale jest bardzo ważna. Jeśli pierwsza noc się nie uda, następnej może wcale nie być. Jeśli natomiast się uda, następna może być równie dobra, lepsza albo... znacznie gorsza. Jego pierwsza noc z Paulą należała do bardzo udanych, pomijając oczywiście pierwszy szok. Max najpierw zrozumiał, że Paula ma raka; nie że kiedyś chorowała, ale że teraz, obecnie jest chora. Potem nastąpiła ogromna ulga, a następnie wiadomość, że Paula nie ma piersi...

Wcale nie kłamał; dla niego ten fakt naprawdę nie miał większego znaczenia. Ale jeśli Paula myśli, że tylko ona tej nocy drżała ze strachu, to się myliła. Wiedział, że powinien to rozegrać bardzo delikatnie, że wystarczy jedna nieostrożność i nastąpi katastrofa.

Patrzyła, jak Max podchodzi do basenu, wchodzi do wody i zaczyna płynąć. Zdjęła sukienkę, czując wdzięczność, że nikt na nią nie patrzy. Czyżby Max zrozumiał, że jej zaufanie jest jeszcze bardzo kruche i łatwo je zburzyć? Weszła do wody powoli, po stopniach drabinki, próbując nie sprawdzać, czy wszystko w jej kostiumie jest na właściwym miejscu. Max leżał w wodzie oparty o brzeg basenu i teraz na nią patrzył.

Zrobiła kilka ruchów i uśmiechnęła się do niego. Woda była chłodna i miękka jak jedwab. Jak to dobrze, że zawsze miałam mały biust, pomyślała. Protezę też mam małą i nie przekrzywi się przy pływaniu. Słyszała, jak niektóre kobiety, którym amputowano piersi, na to narzekają. Na szczęście, kazałam sobie uszyć ten kostium. Świetnie leży i wszystko jest na swoim miejscu. Tego dnia jednak postanowiła pływać mniej brawurowo. Ostrożność nie zawadzi.

Max podpłynął do niej i pocałował ją w usta.

- Cudowna...
- Tak, woda jest nadzwyczajna.
- Nie wodę miałem na myśli, tylko ciebie.
- Max...

- Nie myśl o tym, o czym myślisz, po prostu rozkoszuj się tym, co się dzieje.

Przyciągnął ją bliżej i ich ciała przylgnęły do siebie w wodzie.

- Czy ci mówiłem, że chciałbym, żebyś została u mnie na noc?

- Nie, ale...

- I tak zabrałaś ze sobą szczoteczkę do zębów, prawda?

- Szczerze mówiąc, tak.

- Bardzo dobrze. - Pocałował ją w ucho. - Wieczór zapowiada się wspaniale.

Paula drgnęła, jakby przeszedł ją dreszcz.

- Zimno ci?

- Tak. Nie pozwalasz mi się ruszyć i zmarzłam.

- Przepraszam... - Zrobił skruszoną minę.

Niespiesznie przepłynęła basen kilka razy, a potem usiadła w słońcu na leżaku, żeby kostium szybciej wysechł. Max płynął energicznym kraulem, rozbryzgując wodę na boki. Po kwadransie i on wyszedł, wytarł głowę ręcznikiem, a resztę ciała wystawił na promienie zachodzącego słońca.

- Przepraszam, że cię zostawiłem samą.

- Nie mogłam oderwać od ciebie oczu. Wspaniale pływasz.

- Bardzo to lubię - przyznał. - Pływam prawie codziennie.

- Nie lubisz biegać...

- Tak, to już o mnie wiesz.

Spojrzała na jego ładnie umięśnione ciało.

- Jesteś głodna? - spytał z uśmiechem.

- Trochę.

- Zjemy w domu, zaraz coś zamówię.

- Cudownie.

- Chcę cię mieć tylko dla siebie...

Jego dotyk był jak zapowiedź czekającej ich drugiej nocy. Jak to się stało, że spotkało mnie takie szczęście, myślała Paula,

idąc za Maxem do domu. Jak to się stało, że znalazłam kogoś takiego jak on...

Telewizor w salonie był włączony; Max, jak wiele samotnie mieszkających osób, lubił, by dźwięk dotrzymywał mu towarzyswa.

- Na co masz ochotę? Mam zadzwonić do chińskiej restauracji?

- Może być.

- Nie dyszę entuzjazmu w twoim głosie!

- Prawdę mówiąc, myślę o czymś zupełnie innym.

- Ja też - przyznał. - Mam na myśli raczej...

- Ja też, Max...

Przymknęła oczy i przytuliła się do niego. Max uniósł dłoń i delikatnie powiodł palcem po jej policzkach i brodzie.

- Masz bardzo piękną twarz - powiedział - taką pełną wyrazu. Lubię twarze, które coś wyrażają, rysy, w których zawarte są przeżycia. - Pocałował ją w usta. - Jesteś niezwykłą...

Czuła, jak bardzo jej pragnie i całą sobą poddawała się jego pragnieniu. Była teraz lekka i odprężona, a jej ciało - podobnie jak ostatniej nocy - gotowe odpowiedzieć na żądanie jego ciała. Jej prawa pierś naprężyła się i stwardniała, i Paula pojęła, że za chwilę zdoła zapomnieć o tym, czego pamiętać nie chciała.

- Chińczyk może chyba poczekać...

- Tak... Jajuz... nie mogę...

W tej samej chwili z telewizora popłynął głos Kelly Rainer; jasnowłosa dziennikarka właśnie zamierzała podać ostatnie wiadomości. Max niecierpliwie sięgnął po leżącego na małym stole pilota.

- Dzisiejszej nocy, jak wszyscy pamiętamy... - usłyszała Paula i Kelly Rainer zniknęła z ekranu.

- Widzę, że za nią nie przepadasz - powiedziała, przypomniawszy sobie, w jaki sposób Max odpowiadał na pytania dziennikarki pod szpitalem.

Przez chwilę milczał, wpatrzony w pusty ekran, potem lekko wzruszył ramionami.

- Trudno powiedzieć, że jej nie lubię. Jak wiesz, jestem rozwiedziony. Kelly była moją żoną.

Paula gwałtownie drgnęła. Nie zrozumiała swojej reakcji; przecież nie wiedziała, kim jest żona Maxa. Fakt jednak, że ta kobieta co wieczór odwiedzała jej sypialnię - choćby tylko poprzez obecność na ekranie - zrobił na niej dziwnie przykre wrażenie. Była żona Maxa, osoba będąca dotychczas jedynie słowem, bezcielesną istotą, bezpiecznie skrytą gdzieś daleko, nabrała oto ponętnych kształtów smukłej, długonogiej blondynki. Kobiety pięknej i doskonałej, takiej, której nic nie brakuje...

Max spojrzał na nią spod oka.

- Myślisz, że powinienem był to powiedzieć wcześniej?
- Nie, wcale tak nie myślę, to bez znaczenia.
- Przecież widzę, że cię to zaszokowało.
- Nie! Ja po prostu muszę się oswoić z tą myślą.
- A może lepiej zmienić program, na kanale dziesiątym też mają dobrych spikerów.

Paula roześmiała się.

- Max...

- Przecież o tym właśnie myślałaś. Pomyślałaś sobie: jak ja mogłam znosić obecność tej kobiety we własnym domu?

Paula spoważniała i spojrzała na niego uważnie.

- Powiedz, jak ty to robisz?
- Co takiego?
- Jak ty czytasz w moich myślach?
- Ach, to? Nie ma nic łatwiejszego. Masz tak wyrazistą twarz, że widać na niej każdą myśl. - Delikatnie pocałowała ją w usta. - Chcesz poważnie porozmawiać o Kelly?

Już miała odpowiedzieć twierdząco, kiedy usłyszeli dźwięk pagera.

- Masz dziś dyżur? - zapytała, lekko się krzywiąc.
- Tak.

Max poszedł zadzwonić do szpitala i wrócił z wiadomością, że przed chwilą telefonowała Lisa Carey. Matka czworaczek została poprzedniego dnia wypisana ze szpitala. Poszła do domu razem z Georgią, która szybko przybierała na wadze, a jej stan nie wzbudzał najmniejszych obaw.

Max i Paula przez kilka ostatnich dni codziennie odwiedzali dzieci i starannie je badali. Alex nadal był w nie najlepszej formie, chociaż jego stan znacznie się poprawił, a pozostałe dziewczynki - Hayley i Audrey - musiały nabrać odpowiedniej wagi.

Georgia zatem była jedynym dzieckiem nadającym się do wypisu i Lisa zabrała ją do domu z przekonaniem, że przez najbliższe kilka tygodni będzie miała przy sobie tylko jedno dziecko. Nic nie zapowiadało komplikacji.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego - rzekł Max, wykręcając numer telefonu Lisy. - Ciekawe, dlaczego nikt nie odpowiada.

- Może pojechała do szpitala?

- Może. Chyba muszę tam pojechać. Zadzwonię do nich z samochodu, może będą coś wiedzieli. Pojedziesz ze mną?

- Oczywiście!

- Szkoda... - Spojrzał na nią z takim żalem, że poczuła, że niepotrzebnie się niepokoiła o przyszłość ich związku.

W chwilę później siedzieli już w samochodzie; Paula łączyła się ze szpitalem, Max wyprowadzał samochód na szosę.

- Nie, ani pani Carey, ani jej dziecka u nas nie ma - poinformowała ją pielęgniarka.

- Dziękuję.

Paula powtórzyła wiadomość Maxowi.

- Nie wiem, czy to dobrze, czy źle.

Max sprawdził adres Careyów i poprosił Paulę, by spojrzała na mapę. Państwo Carey mieszkali niedaleko. Po pięciu minutach pukali już do ich drzwi. Curtis Carey natychmiast otworzył drzwi; wyglądał na przestraszonego.

- Przed chwilą do was dzwoniłem - rzekł Max - ale nikt nie odpowiadał.

- O Boże, pewnie byłem w łazience i nie usłyszałem. Nie wiedziałem, że zadzwonicie tak szybko.

Max wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie. Paula poszła w jego ślady.

- Co się dzieje?

- Mała wymiotuje krwią, a na pieluszkach są takie czarne ślady. Chciałem ją zawieźć do szpitala, ale Lisa powiedziała, że bym nie robił paniki. Georgia dobrze wygląda, nie ma gorączki ani nie płacze. Lisa mówi, że jak ją oddamy do szpitala, to wszyscy pomyślą, że nie potrafimy sobie poradzić z dzieckiem.

- W porządku, zaraz ją obejrzymy. - Max rozejrzał się. - Matka z dzieckiem są na górze?

- Tak.

Curtis poprowadził ich w stronę schodów.

- Lisa! - zawołał. - Przyjechali doktor Costain i doktor Nichols! Idziemy do ciebie!

- Dzięki Bogu!

Ulga brzmiąca w głosie Lisy uświadomiła wszystkim, że jej niechęć do robienia paniki musiała ją wiele kosztować.

Lisa siedziała z dzieckiem na łóżku i miała zapłakane oczy; dziewczynka spała wtulona w matkę. Paula delikatnie wyjęła ją z jej ramion i osłuchiwała maleńkie płuca i serce, po czym zbadała puls i uważnie przyjrzała się skórze. Georgia leciutko sapnęła, ale się nie obudziła.

- Karmią pani piersią, prawda? - zapytał Max.

- Tak. Przez kilka dni nie miałam pokarmu, ale teraz mam go tyle, że przekazuję do szpitala dla dziewczynek. Alex jeszcze nie może pić mleka.

- Czy piersi bardzo boją przy karmieniu?

- Strasznie.

- Georgia wymiotuje krwią, ale to nie jest jej krew, tylko

pani. Pielęgniarki nie pokazały pani w szpitalu, jak chronić sutki przed pękaniem?

- Nie, nie miały czasu. A może nawet coś mówiły, tylko ja nie zwróciłam na to uwagi. Byłam wykończona.

- Trzeba będzie odciągnąć pokarm i na jakiś czas przerwać karmienie piersią.

- Trzeba też po każdym karmieniu starannie smarować skórę siarą i mlekiem - dodała Paula.

- Czarne ślady na pieluszkach to po prostu zawartość jelit, którą niemowlę wydała, żeby zrobić miejsce na pokarm.

Lisa uśmiechnęła się z wysiłkiem.

- Tak jak mówiłam, wygłupiliśmy się, niepotrzebnie narobiliśmy paniki. Fatygowaliście się tutaj...

Max wyprostował się.

- Sam tak zadecydowałem! wcale tego nie żałuję.

Paula stała przez chwilę ze śpiącym maleństwem w ramionach. Georgia była tak delikatna i krucha! Nie ważyła nawet dwóch i pół kilogramów. Z takim maleństwem trzeba bardzo uważać.

- Spójrz na nią - rzekła półgłosem do Maxa. - Spójrz na kolor jej skóry.

- Trochę żółta, prawda?

Oboje rodzice skinęli głowami.

- Ale to chyba normalne? - zapytała Lisa. - Przecież wiele dzieci choruje na żółtaczkę po urodzeniu...

- Tak, co nie znaczy, że wolno ją lekceważyć. Proszę przyjechać jutro do szpitala, zrobimy jej badania.

Na twarzach rodziców Georgii znowu odmalował się strach. Przez ostatnie kilka miesięcy bali się o dzieci i teraz każdy niepokojący objaw pogłębiał ich lęk.

- Proszę się uspokoić - powiedział Max. - Chodzi jedynie o zbadanie poziomu bilirubiny. U takiego maleństwa łatwo sprowadzić ją do właściwego poziomu. Nieraz wystarczą po prostu lampy. Musimy zachować ostrożność, czasem lepiej tro-

chę przesadzić, niż czegoś zaniedbać, ale nie ma najmniejszych powodów do obaw, zapewniam państwa.

Lisa głęboko westchnęła.

- Ja staram się panować nad sobą, ale jak pomyślę, że któremuś z nich mogłoby się coś stać... - Wybuchnęła płaczem.
- Przepraszam, ja nie mogę...

Max pochylił się nad nią.

- To zupełnie zrozumiałe.

Curtis Carey popatrzył na lekarzy.

- Jej matka przyjeżdża jutro z Kalifornii i zostanie z nami, jak długo będzie trzeba, nawet przez cały rok. Moi rodzice są tu na miejscu, w Zumie.

Lisa otarła łzy.

- Będziemy mieli pomoc. Moja siostra mieszka dwie ulice dalej, też ma małe dzieci. Ja tylko chcę, żeby one wszystkie nareszcie były w domu, zdrowe i całe!

- I tak właśnie będzie - pocieszył ją Max. - Niech pan - zwrócił się do Curtisa - zadzwoni do mnie jutro, zaraz z samego rana, umówimy się na to badanie. Będzie pan dzisiaj w szpitalu u dzieci?

- Oczywiście! A Lisa wybierze się do nich jutro.

Pożegnali się i po chwili Paula i Max wracali już do siebie. Pozostawili za sobą duży, wygodny dom, w którym spokojnie będzie można zacząć wychowywać czwórkę dzieci, kiedy tylko wszystkie razem w nim się znajdą.

- Dobrze, że do nich pojechaliśmy - odezwał się Max już na drodze. - Nie mam wątpliwości, że trzeba leczyć tę żółtaczkę.

- Wcale się nie dziwię, że tak wydzwaniali do szpitala. Kiedy zobaczyli krew, mogli naprawdę się przestraszyć.

- W dalszym ciągu jesteś głodna?

- Nawet bardziej.

W domu czekało na nich dobre jedzenie, kieliszek wina, trochę muzyki... I tylko jeden telefon od zaniepokojonych ro-

dziców około dziewiątej wieczorem. A potem nastąpiła długa, spokojna noc miłości i wspólnego snu...

Ani słowem nie wspomnieli już o Kelly Rainer i wszystko było tak cudowne, jak gdyby długowłosa, piękna i doskonała w każdym calu była żona Maxa nigdy nie istniała.

ROZDZIAŁ ÓSMY

- Max...

- Tak, kochanie...

- Myślę, że znamy się już wystarczająco dobrze, żebym ci to powiedziała - zaczęła powoli i poczuła, że Max sztywnieje.

- Co mi chcesz powiedzieć? - zapytał niespokojnie.

Siedzieli w domu Pauli na kanapie przed telewizorem; właśnie coś zjedli, a teraz oglądali telewizję. To znaczy, Max oglądał, Paula raczej nie miała na to ochoty.

- Sądzę, że nieraz nawet drobne rzeczy...

- Powiedz wreszcie!

- W takim razie nie przerywaj!

- Mów.

Paula przechyliła się i wyjęła z jego ręki pilota.

- Chodziło tylko o to.

- O co?

- Żebyś przestał skakać po kanałach, mój drogi. Od dzisiaj, gdziekolwiek jesteśmy, u mnie czy u ciebie, ja trzymam pilota.

Przez ostatnie pięć minut Max bez przerwy zmieniał kanały: zdążyli już zerknąć na jakiś film, obejrzeć finał meczu i kilka innych równie krótkich epizodów. Max spuścił głowę.

- Wiem, to okropny zwyczaj - wyznał ze skruchą.

- Okropny to mało! Nie można bardziej lekceważyć osoby, z którą się przebywa!

- Nigdy nic nie mówiłaś...

- A nie zauważyłaś, że u mnie w domu pilot zawsze leży schowany pod gazetami?

Skrzywił się.

- Owszem! Strasznie mnie to denerwowało i nawet zamierzałem ci na to zwrócić uwagę, jak się lepiej poznamy. W takim razie... Paula, czy mogłabyś nie chować pilota pod stertę gazet?

Roześmiała się i pocałowała ją w usta. Nawet nie zauważyła, że przy okazji sięgnął po pilota i wyłączył jednak telewizor. Od ich upojonej pierwszej nocy minęło już pięć tygodni. Pięć długich tygodni, podczas których to, co do siebie początkowo czuli, rozrosło się i pogłębiło.

Ich związek był tajemnicą poliszyneła i chociaż starali się zachowywać dyskretnie, kilka nocy w tygodniu spędzali razem i do pracy przyjeżdżali niemal jednocześnie.

Max był cudownym towarzyszem. Znał urocze małe knajpki, potrafił znaleźć kino, w którym grali coś dobrego, odkrywał niezwykle trasy spacerowe i małe sklepiki z antykami, gdzie zawsze można było coś kupić.

Nikt nie jest doskonały i on też miał swoje wady. Każdy mężczyzna je ma; nie znosił opery, jadał ostrygi „w stanie naturalnym”, no i lubił zmieniać kanały w telewizorze. Mimo to stanowił część życia Pauli i był dla niej tak ważny jak nikt dotychczas.

Wspólna pracajeszcze bardziej ich do siebie zbliżyła. Mieli oczywiście różnych pacjentów, ale opieka nad czworaczkami Careyów wymagała ich współpracy. Georgia w dalszym ciągu była najsilniejszym dzieckiem z całej czwórki, ale Haley też już pojechała do domu, a Audrey miała dołączyć do siostr w najbliższym tygodniu. Lisa niecierpliwie czekała na Alexa, a Curtis wymagał opieki psychologa, ponieważ sytuacja zaczęła go przerażać. Był to trudny okres w życiu państwa Carey i Paula z Maxem robili wszystko, by im pomóc.

Jedno tylko drażniło Paulę: Max obchodził się z nią jak z jajkiem. Był tak nieprawdopodobnie delikatny, że kiedyś nawet mu powiedziała: „Nie musisz mnie traktować jak Curtisa

Careya. Jestem dorosła, panuję nad sobą i doskonale zniosę jakieś nieopatrzone słowo czy ostrą wymianę zdań". Max jednak stale traktował ją jak rzadką roślinę, którą należy chronić, i z czasem zaczęła to doceniać. Przecież taki człowiek jak Max to rzadkość...

O odbyli krótką rozmowę na temat Kelly. Max, zdaje się, uważał, że nie bardzo jest o czym mówić. Małżeństwem byli niezbyt długo i rozstali się w zgodzie; nie mieli dzieci, a ponieważ oboje sporo zarabiali, nie doszło do nieporozumień finansowych. Dlaczego w takim razie tak mnie to dręczy? - zastanawiała się Paula.

Siedzieli na kanapie i gdy Max pocałował ją w ucho, nie zareagowała, pogrążona w myślach. Zupełnie jakby Kelly w jakiś sposób mi zagrażała, jakby jej cień stale padał na moje życie i zaciemniał je... Przecież to śmieszne!

- Czy myślisz właśnie o niezwykłym, magicznym wpływie mojego dotyku na twoje zmysły? - zapytał ironicznie Max.

- Słucham? Przepraszam...

- Pytałem, czy...

Powtórzył pytanie z jeszcze większą ironią i Paula przygryzła wargę. Miała rację, zachowywała się niezbyt miło.

- Przepraszam cię.

- A może koniecznie chcesz zobaczyć finał rozgrywek Bullsów i Lakersów?

- Tak, zwłaszcza jeśli będzie przerywany fragmentami filmu „Piękna kobieta” i poradami w stylu: jak zrobić sobie śliczny ogródek na niewielkim tarasie...

Max roześmiał się.

- Dobrze, już dobrze, mogę obiecać, że nigdy więcej w twojej obecności nie będę skakał po kanałach. Pod jednym warunkiem: przejdziemy teraz do następnego programu dzisiejszego wieczoru...

Musnął wargami jej policzek; Paula zamruczała jak kotka.

- W takim razie ja też ci coś obiecuję. Następnym razem,

kiedy będziemy jeść poza domem, spróbuję jeść ostrygi *au naturel*.

- Zupełnie zapomniałem!

- O czym? O ostrygach?

- Nie, chodzi o jedzenie poza domem. Zapomniałem ci powiedzieć, że moja siostra i jej mąż zapraszają nas do siebie na niedzielę. Pójdziemy?

- Jasne. Bardzo bym chciała poznać twoją siostrę.

Paula uznała, że bardzo mu zależy, by poznała Janey. Doskonale to rozumiała; Max był człowiekiem o silnym poczuciu więzi rodzinnych, bez przerwy wydzwaniał do rodziców, często odwiedzał siostrzenice i opowiadał jej o swojej siostrze i jej rodzinie.

Z jego opowieści Paula mogła wywnioskować, że Janey nie miała łatwego życia, ale nie wiedziała dokładnie, z jakiego powodu. W ciągu kilku dni dzielących ją od niedzieli psychicznie przygotowywała się do spotkania z siostrą Maxa. Wiedziała, że siostry potrafią być zazdrosne, a przez to bardzo krytycznie nastawione do wybranek braci. Ale wiedziała też, że jeśli siostra choć trochę przypomina brata, polubi ją natychmiast. Z drugiej jednak strony Janey tym bardziej mogła nie chcieć widzieć brata z inną kobietą.

Zdenerwowana wsiadła do samochodu i niepokój towarzyszył jej przez całą drogę do dużego, zbudowanego w hiszpańskim stylu domu Owensów, położonego po drugiej stronie wzgórz św. Izydora.

Kilkunastoletnie córki Owensów kręciły się wokół basenu w towarzystwie swoich chłopaków; w drugim krańcu ogrodu barczysty mężczyzna przygotowywał grilla w cieniu pergoli pokrytej winną latoroślą.

- To tylko takie zwyczajne rodzinne spotkanie - oznajmił Max, wysiadając z samochodu. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz.

- Jestem pewna.

- Janey na pewno jest w kuchni i przygotowuje swoje wspa-
niałe sałatki. Na razie przedstawię ci Johna.

John właśnie polał czymś węgiel drzewny i przytknął do
niego zapałkę; buchnął wysoki płomień. Paula instynktownie
cofnęła się.

- Przepraszam! Nie spaliłem ci brwi? Naprawdę strasznie
przepraszam! - wykrzyknął John.

- Nie szkodzi - odparła z uśmiechem. - I tak były zbyt
krzaczaste.

- Nie powiedziałbym.

John wytarł rękę o szorty i serdecznie przywitał się z Paulą.

- Janey jest w domu? - spytał Max.

- Tak, studiuje książkę kucharską.

- Ma jakieś kłopoty?

- Tak, jest wściekła, bo ktoś jej wylał specjalnie przygoto-
wany kaczę tłuszcz.

- To naprawdę straszne.

- Powiedziała, że będzie musiała zastąpić go oliwą.

- Chyba burza już minęła i możemy tam iść.

- Burza? - roześmiał się John. - Zupełnie jakbyś jej nie
znał. Moja żona, a twoja siostra, nie potrafi się gniewać.

Wrócił do swojego paleniska, a Paula z Maxem po kamien-
nych schodach udali się na taras, skąd przeszli do obszernej,
klimatyzowanej kuchni. Drobną kobietą w szortach i żółtej
bluzce stała przy kuchennym stole, zajęta komponowaniem sa-
łatek. Nie usłyszała ich kroków.

- Witaj, Janey - powiedział Max.

Odwróciła się zaskoczona i Paula siłą powstrzymała się, by
nie krzyknąć. Janey miała blizny po głębokich oparzeniach,
ciągnące się przez całe ramiona i dochodzące aż do szyi i karku.
Wypadek, który je spowodował, musiał się wydarzyć wiele lat
temu, bo rany przybrały już formę zastygłych węzlastych zgru-
bień, miejscami przetykanych przezroczyłą, wiotką skórą.

Paula opanowała się i uśmiechnęła z wysiłkiem.

- Przestraszyliście mnie - rzekła Janey i podeszła do nich, żeby się przywitać. - Witaj, braciszku! A to musi być...

- Jestem Paula.

Siostra Maxa pocałowała ją w policzek i Paula z bliska obejrzała blizny. Wypadek musiał być niezwykle groźny, a Janey zapewne spędziła w szpitalu kilka bolesnych miesięcy. Ruszała się swobodnie i widać było, że ma za sobą również długie godziny gimnastycznych ćwiczeń i rehabilitacji. Jej twarz nosiła ślady operacji plastycznej.

- Wiem, że to jest strasznie banalne i głupie, ale muszę to powiedzieć. - Głos Janey był radosny i dźwięczny. - Bardzo się cieszę, że nareszcie mogę cię spotkać, bo Max bardzo dużo nam o tobie opowiadał. No i rzeczywiście zachowałam się niezręcznie, bo postawiłam cię w głupiej sytuacji.

Paula uśmiechnęła się.

- Dam sobie jakoś radę.

- Czy też nieraz miewasz takie wpadki? Mówisz na przykład dzieciom znajomych, że bardzo urosły, mimo że pamiętasz, jak bardzo sama tego nienawidziłaś? Albo mówisz szkolnym koleżankom, że wcale się nie zmieniły, chociaż całe są pokryte zmarszczkami i doskonale to widzisz?

- Na tym właśnie polega nieszczęście - westchnęła Paula.
- Człowiek jest niewolnikiem stereotypowych zachowań.

- Na domiar złego to zwykle bywa prawda. Dzieci rzeczywiście rosną jak szalone, a ja rzeczywiście umierałam z ciekawości, żeby cię poznać. Max tyle o tobie mówił. A teraz muszę przyprawić sałatki. - Wyjrzała przez okno. John nadal kręcił się przy grillu. - Jak znam życie, będzie gotowy dopiero za jakąś godzinę. Sałata zwiotczeje i zrobi się przezroczyta... Trudno. Może się czegoś napijecie? A może najpierw wolicie popływać?

Paula skinęła głową.

- Bardzo chętnie, a potem ci pomogę.

- Ja też ci pomogę - skwapliwie zapewnił Max.

Paula spostrzegła jego spojrzenie i odczytała, że wszystko idzie doskonale. Nie miała jeszcze wielkiej wprawy w czytaniu jego myśli, ale zaczynała już dorównywać mistrzowi.

Max docenił jej reakcję na wygląd Janey. Cieszył się, że poznała jego siostrę, ponieważ w ten sposób jednocześnie lepiej poznała jego; mogła ujrzeć w nim człowieka przyzwyczajonego do braku doskonałości w wyglądzie zewnętrznym. Człowieka, który znał nie tylko kobiety tak nieskazitelnej urody jak Kelly Rainer. Świadomość ta upewniła Paulę, że przyszłość u boku Maxa jest możliwa.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że twoja siostra miała wypadek? - zapytała go, kiedy po kąpieli odpoczywali na leżakach w cieniu pergoli.

Kurczęta i kotlety smażyły się już na grillu; John poszedł do domu, by przynieść nakrycia, sałatki i przyprawy. Tara i Connie chichotały z chłopakami w drugim końcu basenu.

- Chodzi ci o to, że jest tak strasznie okaleczona?

- Tak, zupełnie jak ja.

- Myślałem, że lepiej jest coś zobaczyć na własne oczy, a nie tylko usłyszeć. W przeciwnym razie to byłoby strasznie sztuczne, zupełnie jak wtedy, kiedy ktoś cię uprzedza: „Wiesz, mój kolega jest Żydem”, zupełnie jakby przewidywał twoje negatywne reakcje.

- Może masz rację.

- Nie chciałem się posługiwać swoją siostrą, żeby pokazać, jaki jestem... no, jak to powiedzieć?

- Bezpośredni? Otwarty? Bez przesądów?

- Coś w tym rodzaju. Janey jest moją siostrą, chciałem, żebyś ją poznała i zobaczyła, że...

- Tak, rozumiem - rzekła szybko Paula. - Rozumiem, Max.

Więcej już na ten temat nie mówili. Nie było takiej potrzeby. Paula włożyła szorty i bluzkę i pomogła gospodarzom. Jedzenie było świetne, sałatki wyśmienite.

- Chciałbym tylko zauważyć - powiedział pod koniec po-

siłku Max - że ta sałatka z grzybkami byłaby chyba lepsza, gdyby do niej dodać łyżeczkę kaczego tłuszczu...

Janey rzuciła w niego papierowym talerzem.

- Na deser mamy sernik, który zrobił John. Dlatego nie, będzie musiał dzisiaj zmywać. Może namówimy dziewczynki i chłopaków?

- Ja ci pomogę - oznajmiła Paula i weszła do domu za gospodynią. Wiedziała, że gdy zostaną same, Janey zada jej kilka pytań, i z góry się na to godziła.

- Wiem, że jestem okropna, ale nie mogę się powstrzymać...
- zaczęła Janey.

- Mów śmiało.

- Naprawdę?

- Wiesz przecież, że nie mam wyboru.

- Oczywiście, że masz. Zawsze możesz powiedzieć, że bym się nie wtrącała w nie swoje sprawy.

Paula spojrzała na nią uważnie.

- Tak jakoś się stało, że bardzo bym chciała, żeby to były również i twoje sprawy.

Janey rozjaśniła się.

- Czy kochasz mojego brata? Pytanie jest okropne, ale modlę się, żebyś powiedziała „tak”, bo jemu bardzo jest potrzebny ktoś taki jak ty.

- Co masz na myśli, mówiąc „taki jak ja”?

Może pediatra? Albo kobieta bez jednej piersi? Nie, to niemożliwe, żeby Janey to właśnie miała na myśli, przecież ona chyba nawet nie wie...

- Ja lubiłam Kelly, ale... Wiesz o Kelly Rainer, prawda?

- Wiem, że byli małżeństwem.

- Oni po prostu do siebie nie pasowali. Po burzliwym związku ze Stephanie... O rany! Chyba się wygadałam!

- Max coś mi wspominał.

- To dobrze, bo nie jestem zbyt dobra w dotrzymywaniu sekretów. Max był ze Stephanie kilka lat, a potem, kiedy ode-

szła, nie chciał już się wiązać z żadną lekarką. Uważał, że to z powodu zawodu nie mogli zostać razem. Powód, rzecz jasna, był zupełnie inny.

- Jaki?

- Stephanie była wyłącznie lekarką! Nie istniało dla niej nic poza pracą! A ty... Słyszałam, że zajmujesz się również ceramiką.

Paula jęknęła.

- On ci naprawdę wszystko o mnie powiedział, prawda?

- Tak. - Janey spoważniała. - I myślę, że to chyba dobrze...

- Masz na,

- To jeszcze nie są prawdziwe przeszkody.
- Tak, było coś jeszcze. Kelly nie chciała mieć dzieci.

Paula spojrzała na nią zdziwiona.

- Max był zaskoczony, bo przed ślubem mówiła zupełnie inaczej. Po ślubie natomiast oświadczyła, że o dzieciach pomyśli dopiero grubo po trzydziestce. Ona ma teraz dwadzieścia dziewięć lat, Max jest o jedenaście lat starszy. Kelly mówiła, że najpierw musi dojść do czegoś w zawodzie, a dopiero potem pomyśli o dzieciach. Max nie chciał czekać do pięćdziesiątki, bo wie, że wtedy jego szanse maleją, a nie był pewien, czy Kelly nie zechce zwlekać jeszcze dłużej.

- To... jemu tak bardzo zależy na dzieciach? - Głos Pauli wyraźnie zadrżał.

Dzieci. O tym nie pomyślała. Uważała, że ma dość problemów z samą sobą, by się jeszcze zastanawiać nad stosunkiem Maxa do posiadania dzieci.

- Tak, bardzo.

Janey starannie szorowała blachę, nie podnosząc na Paulę oczu i nie widząc wyrazu jej twarzy.

- Max uwielbia dzieci. To chyba dobre u pediatry? - Zerknęła na nią i zaraz znowu spuściła oczy. - Prawda?

- Oczywiście - gorliwie przytaknęła Paula.

Ona też lubiła dzieci i bardzo chciała je mieć, tylko że w ciągu ostatnich pięciu lat miała dość powodów, by się pożegnać z tym pragnieniem i wycofać je w rejony marzeń. Wystarczyło jej, że znowu żyje normalnym życiem po strasznych dniach spędzonych w cieniu śmierci.

Dzięki zdobyciom medycyny mogła normalnie żyć, ale za zdobycze medycyny trzeba płacić. Za chemioterapię zwykle płaci się bezpłodnością. Wjakiś czas po naświetlaniach miesiączka pojawiła się znowu, ale nie była taka jak przedtem. Zjawiała się nieregularnie, trwała krótko i była mniej obfita. Paula miała trzydzieści sześć lat; kobieta w tym wieku nawet w normalnej sytuacji zwykle jest już mniej płodna.

Tyle już mu postawiłam warunków, tak łatwo mnie zaakceptował, a teraz mam mu jeszcze powiedzieć, że nie mogę mieć dzieci...

Poczuła, jak ogarnia ją poczucie winy i żalu, i przerażenie, że zaraz się rozpłaczę. Nie mogła tego zrobić, musiała natychmiast nad sobą zapanować i dotrzymać towarzystwa tym cudownym ludziom, wśród których się znalazła. Całej tej wspólniejszej rodzinie, którą jeszcze przed chwilą uważała za swoją przyszłą rodzinę.

- Jesteście gotowe? Mogę już podać swoje arcydzieło?

John wszedł do nich prosto z tarasu. O czym on mówi? Jakie arcydzieło? Paula z trudem zbierała myśli, rozpierchłe pod wpływem gromu z jasnego nieba, jaki spadł na nią w czasie rozmowy z Janey. Dopiero po dłuższej chwili zorientowała się, że John ma na myśli swoje ciasto.

- Pyszne - oznajmiła w chwilę potem, udając, że rozkoszuje się smakiem, którego prawie nie czuła.

Max na szczęście stał nad brzegiem basenu, odwrócony do nich tyłem, i nie mógł widzieć wyrazu jej twarzy. Lepiej, żeby w tej chwili patrzył na Janey, rozświetloną i szczęśliwą po rozmowie, której rezultatu zupełnie nie rozumiała.

Siostra Maxa była po prostu szczęśliwa, że uzyskała od Pauli twierdzącą odpowiedź na swe pierwsze pytanie. Paula kocha Maxa. Wynik badania uznała za pozytywny i to jej wystarczyło.

Paula w innych warunkach uśmiechnęłaby się do siebie w duchu, wzruszona jej naiwnością. Przeprowadziła w życiu zbyt wiele badań, żeby bezgranicznie wierzyć w możliwość ich praktycznego zastosowania. Teraz jednak przygnębienie nie pozwalało jej na takie refleksje.

Maxa spotkał w życiu dwukrotny zawód; rozczarowały go dwie kobiety, które kochał. Co będzie, jeśli i ona, Paula, zachowa się podobnie? Czym stanie się ich życie, jeśli po kilku latach Max zrozumie, że po raz kolejny spotyka go zawód? Myślała, że gdy Max pogodzi się z jej ułomnością i zaakceptuje ją taką,

jaka jest, najgorsze będzie miała za sobą. Okazało się, że są rzeczy ważniejsze niż amputacja piersi...

Ciasto było wspaniałe, owoce cudowne, a kawa wyborna. Paula siłą odepchnęła atakujące ją złe myśli, wiedząc, że nie jest to właściwe miejsce na wyciąganie wniosków. Na wnioski ostateczne będzie jeszcze miała czas.

Wyszli dość wcześnie, około dziewiętej. Kiedy podjeżdżali pod dom Pauli, Max jak zwykle zapytał, czy może wejść. Zdawał się nie czekać na odpowiedź, którą doskonale znał. Ona też ją znała. Wiedziała, że nie potrafi mu odmówić. Pragnęła go i chciała, by z nią był. Max również jej pragnął. Kiedy tylko znaleźli się w korytarzu, musnął ustami jej kark.

- Jest tylko jeden problem - szepnęła. - Nie zdążyłem pojechać do apteki po prezerwatywy.

- Nie szkodzi - odrzekła szybko. - To bezpieczny moment.

Dla mnie każdy moment jest „bezpieczny”, pomyślała z gorczycą. Przez ostatnie tygodnie z zadowoleniem obserwowała, jak Max dba o antykoncepcję. Powiedziała mu, że bardzo ją to cieszy, a teraz tego żałowała. Przecież w ten sposób niechcący upewniła go w przekonaniu, że jest zdolna zajść w ciążę.

- Max - szepnęła - chyba powinniśmy o czymś porozmawiać...

- Nie teraz... - odparł, całując ją.

Próbowała wysunąć się z jego objęć.

- Musimy, naprawdę musimy - powtórzyła.

- Najpierw chodźmy do łóżka.

- Nie, poczekaj...

Próbowała temu zapobiec, ale Max wzię ją na ręce i zaniósł prosto do sypialni.

- Pogadać możemy potem - oświadczył, podkreślając mocno ostatnie słowo. - Masz teraz taki cudowny, zmysłowy głos. Nigdy tak do mnie nie mówisz w restauracji ani w pracy, tylko w łóżku...

- Ale...

- A teraz mówisz tonem przerażonej dziewczynki, która się boi, że „on sobie pójdzie, jak mu to powiem”.

- Max...

- Janey jest tobą zachwycona, ja też uważam, że jesteś cudowna. W tym kostiumie wyglądałaś tak ponętnie, że musiałem patrzeć tylko na twoje nogi, żeby nie patrzeć wyżej.

- Proszę cię...

- Kochanie...

Przerwał jej pocałunkiem. Paula poczuła, jak łyzy napływają jej do oczu. Tak bardzo go kocham, pomyślała, i jeśli on naprawdę czuje to, co mówi, to może... może my rzeczywiście możemy być razem...

Nigdy dotąd nie kochali się tak jak tej nocy. Miłość bez zabezpieczeń sprawia, że znikają granice, a emocje stają się silniejsze. Paula miała świadomość, że jeszcze nigdy nie byli tak całkowicie zespoleni. Kiedy skończyli, poczuła, że łyzy płyną jej po policzkach. Max to zauważył.

- Paula, co się dzieje?

- Jestem po prostu bardzo szczęśliwa.

Powiedziała to, wiedząc, że cokolwiek się stanie, tego jednego jest absolutnie pewna.

- To dobrze.

Objęły ją mocno i ułożył się do snu, jakby nareszcie znalazł swoje miejsce na ziemi. Postanowiła porozmawiać z nim nazajutrz wieczorem. Musiała to uczynić, ponieważ dalsze utrzymywanie go w fałszywym przekonaniu uznała za nieuczciwe.

Ku swemu zaskoczeniu następnego dnia jeszcze bardziej szukała jego bliskości niż zwykle. Spotkali się na oddziale noworodków na intensywnej terapii, gdzie Paula badała nowo narodzonego braciszka jednego ze swoich małych pacjentów. Noworodek był w dobrym stanie, ale ponieważ zaraz po urodzeniu pojawiły się problemy, teraz należało wszystko wyjaśnić jego rodzicom.

Podobnie jak Georgia Carey, mały Michael Klinger przez pierwszy dzień życia miał nieco zawyżony poziom bilirubiny i trzeba było poddać go badaniom, by wykluczyć ewentualność poważnych komplikacji. Paula skonsultowała się z kilkoma specjalistami i starannie przygotowała się do rozmowy z państwem Klinger.

Stali teraz wpatrzeni w maleńkie plastikowe łóżeczko, starannie omijając wzrokiem inne niemowlęta, znacznie bardziej chore niż ich synek. Paula zdawała sobie sprawę z tego, co mogą czuć. Widok chorych dzieci zawsze jest znacznie bardziej przynębiający niż widok dorosłych pacjentów.

W drugim końcu sali ujrzała Maxa w towarzystwie rodziców innego małego pacjenta; po drodze minęła Lisę Carey, która przyszła odwiedzić Alexa.

- Mam dla państwa dobrą wiadomość - oznajmiła zaraz na wstępie. - Niedługo będą państwo mogli zabrać dziecko do domu.

Pani Klinger natychmiast się rozplakała, a pan Klinger zamrugał powiekami.

- To znaczy, że wszystko już w porządku?

- Wszystko jest na najlepszej drodze - wyjaśniła Paula. - Niedobre dni mamy już za sobą.

- To było straszne - westchnęła pani Klinger. - Miał podobno zatrucie krwi...

Jej mąż poruszył gniewnie brwiami.

- I nikt nas o tym nie poinformował. Sądzę, że to bardzo niewłaściwe.

- Nie chcieliśmy państwa niepokoić. Były jeszcze inne problemy, na przykład musieliśmy wykluczyć mukowiscydozę...

- Och nie!

- Szczęśliwie wszystko już za nami.

Michael przebył częściową niedrożność jelit, co w przypadku tak małego dziecka mogło okazać się tragiczne. Inne niepokojące objawy można było kojarzyć z tak wielką liczbą chorób,

że zawiadamianie rodziców o każdym podejrzeniu mogło jedynie wprawić ich w popłoch. Przede wszystkim należało wszystko spokojnie wyjaśnić i wykluczyć.

- Trudno teraz wymieniać wszystkie nasze wątpliwości - oznajmiła łagodnie Paula.

- Ale my bardzo prosimy!

- Podczas ciąży brała pani lek na obniżenie ciśnienia, prawda?

- Tak, i to mogło wywołać zatrucie krwi?

- Nie, ale mogło przyczynić się do znacznego wzrostu poziomu bilirubiny u dziecka i wywołać objawy żółtaczkowe. Michael zostanie teraz poddany fototerapii...

- Wiem, będzie naświetlany takimi lampami...

Paula uśmiechnęła się.

- Tak, będziecie państwo mogli przy tym być. To potrwa jakieś dwa, trzy dni, a potem go dokładnie zbadamy i będzie mógł iść do domu.

- Jeszcze kilka dni! To strasznie długo! - jęknęła pani Klinger, znowu zalewając się łzami. - Ja nie chcę wracać do domu bez mojego dziecka!

- Rozumiem - Paula skinęła głową - ale zawsze będzie pani mogła przychodzić na oddział i karmić Michaela.

Państwo Klinger zasypali ją lawiną dodatkowych pytań, a kiedy skończyli, Paula się pożegnała.

- Pod koniec przyszłego tygodnia proszę przyjść z nim na pierwszą kontrolę - poprosiła na zakończenie.

Pani Klinger pochyliła się nad łóżeczkiem.

- Chcę go zabrać do domu...

Max stał przy maleńkiej, przedwcześnie urodzonej dziewczynce wraz z jej rodzicami. Robili wrażenie osób niezadowolonych i z daleka widziało się, że zadawane przez nich pytania nie są tak niewinne jak te, którymi obsypali Paulę państwo Klinger.

Paula poszła do pokoju pielęgniarek, by zanotować coś

w karcie Michaela Klingera. Przez szklaną taflę oddzielającą pomieszczenia mogła obserwować Maxa. Uważnie słuchał zniecierpliwionych rodziców, nie przerywając im ani nie wpadając w słowo. Nic nie wskazywało na to, że się śpieszy albo lekceważy ich zarzuty. Potem starannie zaczął badać dziecko, wyjaśniając im sytuację spokojnym, cichym głosem. W jego twarzy i ruchach było coś, co budziło zaufanie i nie dopuszczało myśli o ewentualnych zaniedbaniach czy przeoczeniach. Widać było, że powierzone mu dziecko znajduje się pod najlepszą opieką.

Czy tak myślę, bo go kocham? - zastanawiała się Paula.

Max wszedł do pokoju pielęgniarek kilka minut później. Towarzyszyła mu siostra przełożona.

- Dziękuję panu, doktorze, że pan z nimi porozmawiał. Zamęczali nas pytaniami i mieli mnóstwo pretensji.

- Po prostu bardzo się denerwowali, nie mogąc zabrać Julii do domu. Mam nadzieję, że zrozumieli, iż mała nie może się obyć bez kroplówki i respiratora. Fakt, że nie może sama oddychać, bardzo ich przestraszył. Uznali to za objaw jakiejś ciężkiej choroby.,

Paula domyślała się, że Julia ma jakieś anomalie oskrzelowo-płucne, spowodowane zbyt długim przebywaniem poza respiratorem bezpośrednio po porodzie. Nic dziwnego, że rodzice się niepokoją!

Pielęgniarka podniosła na Maxa oczy.

- Myśli pan, że powinnam być dla nich bardziej wyrozumiała?

- Byłoby dobrze - odparł Max - mimo że tacy dociekliwi rodzice mogą być bardzo uciążliwi. Zdaję sobie sprawę, że przez pierwsze kilka tygodni mój pager będzie dzwonił w sprawie Julii bez przerwy. Trudno, gdyby to było moje dziecko... - Uśmiechnął się czule, a jego dłonie czule nakreśliły w powietrzu małej kształt. - Gdyby to było moje dziecko - powtórzył - też robiłbym wszystko, co w moim mniemaniu mogłoby mu zapewnić jak najlepszą opiekę. Ojciec Julii jest radiologiem,

a wszyscy wiemy, jacy lekarze mogą być okropni w takiej sytuacji.

Pielęgniarka głęboko westchnęła.

- Dzięki Bogu, moje dzieci przychodziły na świat zdrowe, więc nie miałam okazji popisać się takim zachowaniem, o jakim pan mówi, ale za to teraz stale się o nie martwię. Nie mają nawet osiemnastu lat...

- Najbardziej wartościowe jest to, co wymaga największego wysiłku - rzekł sentencjonalnie Max.

- Mówi pan tak, doktorze, z własnego doświadczenia?

- Nie tylko, obserwuję ludzi. Mam siostrę, mam siostrzenicę. Wiem, że to nie to samo co własne dzieci, ale może pewnego dnia...

Urwał, a w chwilę potem siostra przełożona opuściła pokój. Max podszedł do Pauli i musnął jej ramię.

- Cześć, jestem tu...

Jeśli po wczorajszej rozmowie z Janey miała jeszcze jakieś wątpliwości, to po tym, co teraz usłyszała, utraciła je bezpowrotnie. Max pragnie mieć dzieci nie jak ktoś, kto po prostu wlicza ten fakt w normalny przebieg ludzkiego życia - Max nie wyobraża sobie bez nich życia. A jeśli ożeni się z nią, nigdy nie będzie ich miał. Na razie nie rozmawiali jeszcze o małżeństwie, ale Paula od pewnego czasu brała je pod uwagę i wiedziała, że Max też. Świadczyły o tym różne drobne rzeczy, jak na przykład wzmianka, że dobrze się stało, iż po rozwodzie z Kelly nie sprzedał domu, bo przecież duży dom zawsze może się przydać.

Małe rzeczy... Przez całą resztę dnia wspominała te wszystkie małe rzeczy, żegnając się z nimi na zawsze. Przypomniała sobie, jak Max głąaskał pewnego trzylatka po ciemnej główce, i jak uważnie słuchoał pytań małej dziewczynki.

- Czy w domu też jesteś doktorem? - spytała go.

- Tak, zawsze jestem doktorem, ale w domu nie robię rzeczy, które robi doktor. Jem sobie pizzę i oglądam telewizję.

Max rozmawiający o komputerach z przemądrzałym jedenaślatkiem, i o piłce nożnej z pewnym dziesięciolatkiem. Rozmawiał z nimi nie po to, by zrobić wrażenie na rodzicach, ani po to, by zjednać sobie sympatię dziecka przed badaniem. Rozmawiał z nimi, bo naprawdę go interesowały. Teraz ona musi z nim porozmawiać, i zrobi to po kolacji.

Do wspólnej kolacji jednak nie doszło.

- Nie mam żadnych szans na dzisiejszy wieczór - powiedział, gdy zajął do Pauli przed piątą. - Muszę być pod telefonem, a do tego przyrzekłem rodzicom Julii, że jeszcze do niej zajrzę. Dostałem też dwóch nowych pacjentów. A ponieważ mam wrażenie, że dzisiejszy wieczór byłby bardzo ważny, więc nie chciałbym się śpieszyć.

- Tak, dobrze - odparła, modląc się w duchu, żeby nie weszła Deborah i teraz ich nie zobaczyła.

- W takim razie, jutro?

- Tak, jutro.

Odkładanie rozmowy nic nie zmieni, pomyślała wieczorem, siedząc sama w domu, a do tej rozmowy musi dojść, i to jak najprędzej. Ze względu na Maxa i dla jego dobra.

- Kiedy mu to powiem - zwróciła się do telewizora i Kelly Rainer królującej na ekranie - on odpowie, że nie ma problemu. Ale problem jest. Stephanie nie chciała dać mu dziecka, ty też nie, a ja nie mogę. Nie mogę wymagać, żeby się na to zgodził. Ale jeśli mu powiem, że nie mogę mieć dzieci, nie odejdzie ode mnie, na to jest zbyt szlachetny. Ale jeśli mu powiem, że nie chcę... Jednym słowem, mogę zrobić tylko jedno, Kelly. Sama widzisz.

Pomyślała, że gdyby Max zobaczył, jak przemawia do ekranu telewizyjnego, na którym widać jego byłą żonę, pomyślałby, że zwariowała, i sam by z nią zerwał. Nawet Kelly może się na coś przydać...

Kelly szeroko się uśmiechnęła.

- Witam państwa i od razu przechodzę do doskonałej

wiadomości. W sobotę mamy otwarcie nowej księgarni w samym centrum miasta. Organizatorzy przewidzieli mnóstwo niespodzianek dla dzieci i dorosłych. Mam nadzieję, że wszyscy się tam spotkamy. My, program szósty, dopiszemy na pewno!

- Ja chyba nie wpadnę, wybacz, Kelly - szepnęła z goryczą Paula.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Życie bez Maxa.

Powinno nie być zbyt ciężkie. Przecież ich związek trwał tylko dwa miesiące. Mimo to wszystko potoczyło się okropnie. Przede wszystkim, kiedy Paula powiedziała mu o rozstaniu, Max zrobił scenę.

Do dramatu doszło w czwartek wieczorem. Max miał wyjątkowo ciężki dzień, był bardzo zmęczony i powiedział to Pauli. Siedzieli w tej samej restauracji, co pierwszego dnia. Nie chciała tutaj przychodzić, nie chciała mówić o rozstaniu w miejscu publicznym, bo to uniemożliwiałoby przerwanie rozmowy w dowolnym momencie, ale Max nie chciał ustąpić.

- Muszę coś zjeść, a nie mam ochoty na byle co. Co mi chcesz powiedzieć?

Spojrzał na nią wzrokiem mówiącym, że podejrzewa coś ważnego. Paula wiedziała, że nie ma sensu go oszukiwać; Max przejrzy każdy wybieg, czyta w niej jak w otwartej książce. Musi powiedzieć mu coś, o czym najpierw przekona samą siebie; wtedy dopiero wypadnie wiarygodnie. Zastanawiała się przez cały dzień i wszystko sobie przygotowała: Łączy ich nie miłość, tylko seks, a seks, jak wiadomo, potrafi człowieka oślepić i sprawić, że najakís czas przestaje myśleć. Dobrze, że się opamiętała. Przyjechała do Arizony, żeby zacząć nowe, spokojne życie bez wstrząsów. Spotkała Maxa, zafascynowała ją i przez chwilę straciła panowanie nad sobą. Cały ten ciąg myślowy wydawał jej się niesłychanie logiczny - aż do chwili, kiedy Max spojrzał na nią zmęczonym wzrokiem.

- Jestem wykończony i szczerze mówiąc, w okropnym nastroju.

- To, co powiem, chyba ci go nie poprawi...

Max przetarł oczy.

- Przepraszam, ale miałem ciężki dzień. Jeden z praktyków doprowadził mnie do szału. Kompletny idiota! Nie chciałbym, żeby teraz wszystko skrupiło się na tobie. Zaczniemy od początku. Co u ciebie? - Pieszczotliwie pogłaskał jej rękę. - Nie mów mi o pracy, opowiedz coś o swoich zajęciach z ceramiki albo o czymś innym. Napijemy się czegoś przed jedzeniem?

Usunęła rękę.

- Nie, zamów lepiej coś do zjedzenia, albo nie, lepiej najpierw powiem ci, co mam do powiedzenia. Nie ma co przedłużać tego spotkania. Postanowiłam, że nie będziemy się już spotykać, Max. - Było jasne, że będą się spotykać w pracy, ale tylko i jedynie tam. - Nie chcę, żeby łączyło nas coś więcej. To był błąd. Jesteś cudownym kochankiem i sprawiłeś, że moje ciało... odżyło. Nie sądziłam, że to możliwe. - Nie wolno jej płakać! - Zawsze będę ci za to wdzięczna.

Udało się. Właśnie tak, ciepło i serdecznie. Tak jak się mówi do lekarza, który uratował ci chore dziecko. Dziecko! Tylko nie to! Nie wolno myśleć o dziecku!

- Ja nie planowałam stałego związku, Max, jest mi bardzo dobrze samej. Poza tym zauważyłam, że bardzo ci zależy na dzieciach, a ja stanowczo nie chcę mieć dzieci.

Nie nie mogę, tylko - nie chcę. Tak brzmi lepiej. Niech Max wierzy, że pech znowu zetknął go z kobietą pozbawioną uczuć macierzyńskich. To dla niej najlepsza wymówka, a jemu pozwoli zachować twarz.

- Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić, jak ktoś mógłby do mnie mówić „mamo”!

Wstrzymała oddech; Max milczał.

- Chyba zwariowałaś - powiedział wreszcie.

Spojrzała na niego chłodno.

- Nie sędzę.

- Mówisz zupełnie bez sensu.

- Może dla ciebie to nie ma sensu, ale zapewniam, że dla mnie...

- W takim razie powiedz coś rozsądnego, bo to, co dotąd powiedziałaś, zupełnie nie trzyma się kupy.

- Myślisz, że...

- Znam cię dobrze i powinnaś to wiedzieć. Bądź zatem tak miłą i nie rozmawiaj ze mną jak z idiotą.

Kelnerka podeszła do ich stolika i Max odprawił ją ruchem ręki.

- Na razie dziękujemy.

- Przepraszam, proszę mnie wezwać, gdy będą państwo gotowi.

Ta krótka wymiana zdań pozwoliła Pauli zaczerpnąć tchu. W samą porę, bo już zaczynała się gubić.

- W takim razie - zaczęła, gdy kelnerka odeszła - ty bądź też miłą i nie przerywaj mi, tylko wysłuchaj do końca. I nie mów mi, że coś nie ma sensu, -bo dla mnie właśnie ma i... O Boże...

Niepohamowane łzy zaczęły płynąć jej po twarzy; otarła je grzbietem dłoni. Nie jest dobrą aktorką. Za wszelką cenę musi przerwać tę scenę, bo w przeciwnym razie... w przeciwnym razie zostanie z nim i przez resztę życia będzie miała wyrzuty sumienia.

- Paula! - Chwycił ją za ramię.

- Pozwól mi odejść!

- Ty naprawdę chcesz ode mnie odejść?

- Tak, Max, właśnie tak.

- W takim razie albo mi powiesz uczciwie, dlaczego chcesz to zrobić, albo... jeśli nie jesteś przygotowana na poważną rozmowę, to... do widzenia.

Wstała i wyszła. Było dramatycznie i krótko. Tak jak chciała.

Pół godziny później siedziała w domu i myślała o tym, jak będzie wyglądało ich dalsze życie. Przecież będą codziennie widywali się w szpitalu. To nie jest finał ani koniec, to jest początek czegoś zupełnie nowego.

- Chciałam ci tylko powiedzieć, że dziś był u mnie Mickey Walters z matką - rzekła kilka dni później, wsunawszy głowę do gabinetu Maxa.

- Tak? Wejść, proszę.

- Nie, nie mam czasu. Chciałam ci tylko to powiedzieć.

Stała w drzwiach, mając świadomość, jak głupie jest to, co robi, i jak bardzo beznadziejne.

- Co mu dolega? - zapytał Max równie oficjalnie.

- Ma wysoką gorączkę. Pani Walters przestraszyła się, że to może być zapalenie opon mózgowych.

- Tak? I co?

- Nie ma żadnych objawów. Ani bólu głowy, ani sztywności karku.

- To dobrze.

- Tak, dobrze też, że Mickey ma teraz z matką lepszy kontakt. Pozostają pod opieką psychologa, prawda?

- Tak. Poleciłem im Joanne Rovere; jest świetna.

- To widać. Matka jest teraz dla niego o wiele bardziej wyrozumiała. Stała się cierpliwa i widać, że stara się go zrozumieć. Mickey za to zrobił się bardziej otwarty i jakby w siebie uwierzył. Nabrał wiary we własne siły.

- A jego matka stale uważa, że ma alergię?

- Nie wspomniała o tym ani słowem, a kiedy sama zapytałam, odpowiedziała, że objawy znacznie się zmniejszyły, odkąd starannie odkurza mieszkanie i sama gotuje. Mam wrażenie, że już nie zażąda od nas dodatkowych testów i szczepionek.

- Miło to słyszeć. Żałuję, że nie mogłem sam zobaczyć Mickeya. Miałem mnóstwo pracy.

- Zawsze masz...

Zmarszczył brwi.

- Jestem tu jednym z najbardziej doświadczonych lekarzy, opiekuję się praktykantami, a do tego pacjenci polecają mnie swoim znajomym. Tak długo tu pracuję, że przyzwyczaili się...

- To nie dlatego, Max - rzekła łagodnie. - Jesteś po prostu bardzo dobry i ludzie to czują; dzieci również.

- Serdeczne dzięki. Czym sobie zasłużyłem na tak miłe słowa? Powiedziałaś to tak tylko, czy może ci przeszło tamto wariactwo?

Paula zaczerwieniła się i zacisnęła dłońe.

- Przestań, proszę.

- Jak sobie życzysz. - Znowu przybrał chłodny i oficjalny ton. - Chciałaś mi tylko opowiedzieć o Mickeyu?

- Tak. Przepraszam, że ci przeszkodziłam.

Wycofała się z poczuciem, że zachowała się... żałośnie. Ale przecież od biedy może sobie wmówić, że jej postępowanie ma w sobie coś heroicznego i romantycznego. Poświęciła swoje szczęście, swoją przyszłość, żeby nie marnować życia ukochanemu mężczyźnie. On tak bardzo pragnie mieć dzieci, a ona nie może mu ich dać. Odchodzi więc, szlachetna i zrozpaczona, kryjąc ból i cierpienie głęboko w sercu...

Tylko że to tak strasznie boli.

Przypomniała sobie scenę w restauracji, milczącą, potworną scenę. Już lepiej, żeby krzyknął, powiedział coś nieprzyjemnego albo próbował zniszczyć ją ironią. A on siedział chłodny i obcy, opanowany i... miał rację.

Wszyscy wokół oczywiście natychmiast się zorientowali, że ów tajemniczy napój, o którym mówiła Dehorah, skończył się i pokazało się dno butelki. Pielęgniarki ze współczuciem spoglądały na Paulę i robiły, co mogły, byjakoś jej umilić niedobry okres. Brian raz po raz powtarzał, że Wanda niedługo wróci i Paula nie będzie się musiała tak strasznie przemęczać.

Rzeczywiście, przychodziła do pracy coraz wcześniej

i opuszczała szpital coraz później, ale wyłącznie dlatego, żeby nie siedzieć w pustym domu i nie spotykać Maxa na schodach.

Deborah... Deborah próbowała ją jakoś rozerwać, wciągając w pogaduszki na temat światowych ploteczek, wyczytanych w kobiecych magazynach. Sądziła widocznie, że to najlepsza terapia dla opuszczonej kobiety.

Pewnego dnia Brian wpadł na genialny pomysł urządzenia uroczystej kolacji z okazji powrotu Wandy. Przyjęcie miało się odbyć w przyszłą niedzielę u niego w domu. Zaprosił wszystkich wraz z osobami towarzyszącymi. Zrobił to w piątek, gdy lekarze właśnie szykowali się do wyjścia na lunch. Spojrzał na Paulę i przeniósł wzrok na Maxa; stali daleko od siebie i widać było, że chętnie ustawiliby się na dwóch przeciwnych krańcach korytarza.

- W takim razie - odezwała się Deborah, przerywając niezręczną ciszę - chyba będę musiała przyprowadzić tego mojego faceta. Jest co prawda koszmarny, ale przez tydzień nie zdążę znaleźć nikogo lepszego.

Brian wyraźnie się zmieszał.

- Wcale nie musisz - wyjaśnił pośpiesznie - tak tylko powiedziałem.

Pauli zrobiło się go żal. Brian spojrział na zegarek, by ukryć zmieszanie, a potem znowu zwrócił się do Deborah.

- Przecież wiesz, że zawsze jesteś mile widziana, sama czy z kimś. To nieważne, twoje towarzystwo...

Deborah nie dała jednak za wygraną.

- Słowo się rzekło. Przyprowadzę go, tylko nie mów potem, że nie uprzedzałam, że jest okropny.

Wszyscy roześmiali się i napięcie nieco zelżało.

Następne dziewięć dni upłynęło Pauli zwyczajnie. Przyjmowała w szpitalu chore dzieci i zaniepokojone matki, gawędziła z ptaszkami w swym miniaturowym ogródku, uczyła zająca z ceramiki i zносиła do domu okropne gliniane potworki, z którymi nie wiedziała, co począć.

W jej stosunkach z Maxem nic się nie zmieniło i z każdym dniem coraz bardziej za nim tęskniła. Brak jej było jego telefonów, spacerów po pustyni, wspólnych posiłków, miłosnych noc... Na samą myśl o tym, że może się znaleźć na przyjęciu razem z nim, a jednak osobno - ścisnęło jej się serce.

Jedynie Deborah wносиła nieco humoru w smętne i denerwujące oczekiwanie na dzień, w którym miała spotkać się z Maxem na przyjęciu jakby nigdy nic. Wraz z nadejściem feralnej niedzieli „koszmarny facet” Deborah zmaterializował się. Stali teraz wszyscy wokół basenu w ogrodzie Briana i Lindy.

- Skąd ty go wytrzasnęłaś, Deb? - spytała Paula, kiedy Vaughan udał się do bufetu po kolejne piwo.

- Spotkaliśmy się na trasie rowerowej. Przewróciłam się i pozbierał mnie z ziemi. Nikt inny się nie zatrzymał. Potem załadował mnie do swojego samochodu i pojechaliśmy na kolację.

- My?

- No, ja z nim. Rower wstawiłam do jego samochodu. Zabrałam Vaughana tutaj, bo uznałam, że powinnam mu się odwdziaczyć.

Paula spojrzała na nią poważnie.

- W ten sposób dajesz mu nadzieję na dalszą znajomość, chyba wiesz.

- Wiem, ale jak rozumiesz, nie mogę poważnie traktować faceta, który przy pierwszym spotkaniu oświadcza mi, że lekcje muszą być świetne w łóżku, bo wiedzą z książek, gdzie człowiek ma najczulsze punkty! Możesz sobie wyobrazić, jak mnie to zachęciło do dalszej znajomości.

- Owszem, mogę - przyznała Paula.

- Max jest okropnie smutny, wszystko z zazdrości.

Uwaga Deborah, pozornie nie związana z tematem ich rozmowy, sprawiła, że Paula się zaczerwieniła. Nie chciała nic słyszeć o Maksie, nie chciała go widzieć i nie chciała czuć jego obecności. On zaś wcale jej się nie narzucał. Zajął się rozmową

z gospodarzami, podziwiał nowe dziecko Wandy, pogawędził wreszcie z Vaughanem... Dziecko Wandy było słodkie, miało jasną, słowiańską cerę matki, niebieskie oczy i złote włoski. Jim, jej mąż, był bardzo miły, a dwójka pozostałych dzieci równie udana.

Dzieci Brianów, starsze i śmielsze, krążyły między gośćmi, i z nimi też można było zamienić kilka słów. Paula usiłowała zachowywać się swobodnie i nie dać się dopaść rozmownemu wielbicielowi lekarek. Od czasu do czasu czuła na sobie przenikliwe spojrzenie Maxa.

Co my robimy? Jak długo oboje to wytrzymamy? Czy będę musiała odejść z pracy i opuścić to miasto? Czy zniosę to potworne napięcie?

Opuściła na chwilę towarzystwo i schroniła się po drugiej stronie ogrodu, gdzie czekały zastawione stoły. Nalała sobie wody mineralnej i wzrokiem poszukała Maxa. Pływał w basenie, powoli i bez zapału; biło wprost od niego jakieś dziwne znużenie.

Co myśmy z sobą zrobili? Jak można tak bardzo się unieszczęśliwić w tak krótkim czasie? Dlaczego tego nie przewidziałam? Jak mogłam przypuszczać, że dzieci są mniej ważne niż wygląd mojego ciała? Jak mogłam zachować się tak bezmyślnie? Gdyby nie ja, do niczego by nie doszło!

I nigdy bym nie poznała, jak to jest kochać się z Maxem...

Zauważyła, że Vaughan zmierza w jej stronę, i wpadła w popłoch. Nie! Tylko nie teraz! Szybko ruszyła w stronę domu, a kiedy, wchodząc do środka, na chwilę się obejrzała, zobaczyła utkwiony w sobie wzrok Maxa.

Weszła do domu i rozejrzała się. Dom był obszerny i przestronny; na parterze była co prawda łazienka, ale Paula wolała się schronić gdzieś daleko, tam, gdzie nikt jej nie zobaczy. Ubrana jedynie w kostium kąpielowy, powędrowała na piętro i weszła do sypialni gospodarzy, przy której była luksusowa łazienka o ścianach ozdobionych lustrami, z ogromną wanną.

Uśmiechnęła się do siebie. Przypomniała sobie, jak Brian kiedyś aarzekął, że zawsze brakuje mu czasu na relaks. Przysiadła na jednym z taboretów, obejmując ramionami nogi.

Nie odejdę z pracy, postanowiła. Nigdy, choćby nie wiem co. Nie zamierzam uciekać. Może pewnego dnia to wszystko stanie się łatwiejsze do zniesienia, kto wie? Nie czekała na odpowiedź, wiedziała, że nie nadejdzie. Po chwili jej uwagę zwrócił szmer otwieranych drzwi. Pomyślała, że to Vaughan.

To nie był Vaughan. To był Max.

Zerwała się, jakby chciała uciekać. Max spokojnie zamknął za sobą drzwi łazienki, odcinając jej drogę odwrotu. Byli sami.

- Cześć - powiedziała zmieszana.

Wpadające przez okno słońce oświetliło twarz Maxa.

- Posłuchaj, Paula - rzekł schrypniętym głosem - nie możemy tego tak zostawić. Przecież widzę, jak się męczysz. Ja też się męczę; to były dwa najgorsze tygodnie w moim życiu. Nie jest tak, jak powiedziałem wtedy w restauracji. Nie pozwolę ci odejść. Musimy coś z tym zrobić.

Nie bardzo rozumiała, o co mu chodzi.

- Czemu?

Objął ją, milcząc; poczuła jego chłodną skórę i jego wargi na twarzy, na karku, we włosach. Nie zrobiła żadnego ruchu, by się uwolnić z jego ramion. Max zaczął zdejmować z niej kostium. Jeszcze moment, a nie będzie w stanie mu przeszkodzić...

- Są takie chwile, kiedy mężczyzna musi sam zdecydować - oświadczył. - Zamierzam to zrobić, nie pozwolę ci wszystkiego zepsuć. Nigdy nie chciałaś, żebym cię zobaczył nago, zawsze kochaliśmy się po ciemku... Pewnie pomyślałaś, że twoje ciało jest czymś niedoskonałym, i przestraszyłaś się. Spójrz w lustro, Paula, zobacz, jaka jesteś piękna!

Drgnęła. Zawsze kochali się w ciemnościach i zawsze szczelnie się okrywała, kiedy musiała wstać. Ale przecież to nie był prawdziwy powód ich rozstania.

- Widzisz - szepnął - czuję, jak bije twoje serce. Zawsze je słyszałem, kiedy się kochaliśmy, a teraz mogę zobaczyć, jak bije.

Ona również to ujrzała. Jej serce biło pomiędzy żebrami jak serduszko jednego z maleńkich ptaszków w jej ogródku.

- Jesteś żywą istotą i potrzebujesz miłości - mówił Max.
- Jesteś niezwykle piękna, masz cudownie gładką skórę, delikatne ramiona i maleńkie stopy, masz śliczną jędrną pierś i to cudowne miejsce, gdzie bije twoje serce. Dotykam twojej blizny i kocham cię coraz bardziej. Zaufaj mi, proszę, zaufaj mnie i swojemu sercu. Zaufaj swojemu ciału. Kocham cię, Paula.

Nie spodziewała się, że kiedykolwiek usłyszysz podobne słowa. Nie była przygotowana na tak wielką miłość i nie potrafiła znieść ciężaru jego uczucia. Max nic nie rozumie; sądził, że pieszcząc jej ciało, przywróci im ich wspólną przyszłość, a jej chodzi o dziecko... Od przyjazdu do Arizony ani razu nie miała miesiączki, a przecież upłynęły już dwa miesiące. Bywało już tak; czasem nawet przez cztery miesiące nie miewała okresu. Bezpośrednio po chemioterapii przerwa trwała pół roku. Max nie wypuszczał jej z ramion, patrząc na nią w lustrze. Oczy Pauli wypełniły się łzami.

Max powinien mieć żonę, która da mu dzieci!

- Nie - szepnęła - nie, proszę...

Pochyliła się, chwyciła swój kostium i jakiś ręcznik, otuliła się i uciekła do pokoju obok. Szybko włożyła na siebie kostium i - po raz pierwszy od pięciu lat nie sprawdzając, czy dobrze leży - zbiegła na dół. W ogrodzie goście właśnie się posilali. Szybko sięgnęła po plażową sukienkę i torbę i dopadła w przełocie Briana.

- Przepraszam, ale muszę iść do domu, trochę niedobrze się czuję. Pożegnaj ode mnie Lindę.

Machnęła ręką w stronę Deborah dającej jej znaki i.. .wpadła prosto na Vaughana.

- Wiem, kochanie, że strasznie ci się podobam - zaczął do-
wcipnie - i nie musisz udawać, że przede mną uciekasz.

- Przepraszam, ale muszę już iść...

- Nie przepraszaj, uspokój się i zaczekaj chwilę.

- Muszę iść do domu!

- Ale najpierw zostaw mi swój numer telefonu.

- Ja naprawdę muszę...

- A ja najpierw cię muszę o coś zapytać. Czy jako lekarz uważasz, że to zdrowo dla dziecka, żeby tak leżało z buzią w wodzie?

Co takiego? Paula rozejrzała się w popłochu. W basenie, na błękitnej wodzie, unosiła się trzyletnia córeczka Wandy, jasne włosy falowały wokół jej buzi.

W tej samej chwili przeraźliwy krzyk Wandy przeszył powietrze.

- Elizabeth!

Ktoś jednak był szybszy. Max. Musiał zobaczyć dziecko przez okno; błyskawicznie zbiegł po schodach i rzucił się do basenu, zanim ktokolwiek z obecnych zdążył zrobić ruch. Paula usłyszała za sobą głos Briana:

- Daj mi dziecko, Wanda. Usiądź, bo upadniesz. Deborah przytrzymaj ją, widzisz, co się z nią dzieje? Max zaraz ją wy-
ciągnie!

Jim, mąż Wandy, jęknął i złapał się za głowę.

- Przed chwilą tu była, widziałem ją, była tu minutę temu. Boże, tylko jedna minuta... Mówiłem jej, że nie wolno zbliżać się do basenu, mówiłem tysiące razy...

Max wyjmował dziewczynkę z wody.

- Myślałem, że coś w tym musi być, ale zaraz sobie pomy-
ślałem, że tylu tu lekarzy, więc może wszystko w porządku, że dziecko tak leży... - wymamrotał Vaughan.

- Oboje jej pilnowaliśmy, a wystarczyło, że spuściłem ją z oka, żeby spojrzeć na małego... - zawodził Jim.

Paula dopadła do dziewczynki i podczas gdy Max zaczął jej

robić sztuczne oddychanie, ujęła małą rączkę, żeby odszukać puls.

- Jest! - krzyknęła po chwili - Jest! Czuję zupełnie wyraźnie!

- Ona nie oddycha - szepnął Max.

Jak dobrze, że on tu jest, przemknęło jej przez głowę, jak to dobrze, z nim wszystko się uda. Reanimacja wydawała się trwać w nieskończoność.

- Elizabeth! To ja! Mamusia! Elizabeth! Spójrz na mnie, córeczko!

Nagle woda chlustnęła z ust dziewczynki i mała otworzyła oczy. Zwymiotowała następną porcję i rozpłakała się.

- Dzięki Bogu - usłyszała Paula głos Maxa.

Wanda porwała dziecko w ramiona, dziewczynka przyłgnęła do niej jak małpka.

- Już po wszystkim, córeczko - szepnęła opanowanym już głosem. - Trochę się przestraszyłaś, tak? Nic się nie stało. Następnym razem pójdziesz do wody z mamusią, prawda, kochanie?

Paula stała przez chwilę bez ruchu, próbując odzyskać równowagę zakłóconą wypadkiem i wcześniejszą rozmową z Maxem. Siłą powstrzymała się, by nie wyładować się na Vaughanie, który bez przerwy dopytywał się, co właściwie zaszło. Wreszcie Max nie wytrzymał.

- Następnym razem nie gap się, tylko skacz!

Paula skorzystała z ogólnego zamieszania i szybko się wycofała. Elizabeth nic już nie groziło i nie była nikomu potrzebna. Dopiero w domu, kiedy rozebrawszy się, dotknęła swej prawej piersi, wyczuła na niej wyraźne zgrubienie, coś, co przypominało mały guzek.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ogarnął ją ten rodzaj paniki, jaki znają tylko ci, którzy przeżyli tę ciężką chorobę.

- Ja mam raka cały czas! - powiedziała jej kiedyś jeszcze w Ohio Dianę, koleżanka z oddziału onkologicznego, podobnie jak ona po amputacji piersi. - Mam wszelkie możliwe odmiany nowotworu i oczywiście przerzuty. Czasem zatruwam sobie tym życie przez tydzień, a czasem przez kilka lat. Wystarczy, że swędzi mnie skóra i już uważam, że to czerniak; jeśli czuję się nieco bardziej zmęczona niż zwykle - to znak, że mam białaczkę; kiedy ktoś pali przy mnie papierosa - dostaję raka płuc; a kiedy coś mnie zabolę, szkoda gadać!

Wtedy razem się roześmiały. Paula też znała podobnie obsesyjne myśli; ogarniały ją zawsze na jakiś czas przed kolejną kontrolną wizytą. Gdy onkolog powiedział jej, że może przychodzić do niego już tylko raz na rok, ubłagała go, by ją przyjmował co sześć miesięcy, bo tylko tyle mogła wytrzymać w niepewności.

Kontrolowała się regularnie co pół roku. Teraz od kolejnego badania dzieliło ją sześć tygodni i nawet miała już zamówioną wizytę u pewnego doskonałego specjalisty, poleconego jej przez Briana. Nie zamierzała oczywiście czekać tak długo. Ułożyła się płasko na dywanie w salonie, położyła prawe ramię pod głowę i lewą ręką dokładnie zbadała pierś, zaczynając od brodawki i robiąc coraz szersze okrążenia w kierunku wskazówek zegara. Pierś była napięta, twarda, obolała i zupełnie inna niż zwykle.

Diane wspominała, że zawsze ma coś takiego przed okresem, lecz Paula nigdy nie miała podobnych objawów. Wiedziała, że zwykle się mówi, że rak nie boli, ale przecież są wyjątki. Próbowowała wprowadzić ład w swoje myśli i zachować się w miarę rozsądnie, ale nie potrafiła. Nie panikuj i nie histeryzuj, przykazała sobie. Zaraz rano zadzwonisz do lekarza, a teraz przestań się dręczyć i idź spać.

Zadzwoniła do onkologa natychmiast po przyjeździe do szpitala i zamówiła wizytę na następną dzień..

Obchód minął spokojnie i na szczęście nie wydarzyło się nic wymagającego jej wzmożonej koncentracji i natychmiastowych działań. Na oddziale położniczym spotkała Wandę i odniosła wrażenie, że Wanda musi być przekonana, że doktor Nichols jest osobą dezorganizowaną i rozkojarzoną. Zapytała ją, jak się czuje Elizabeth, i obojętnie wysłuchiwała informacji, że dziewczynka zjadła ogromną kolację, a potem przez całą noc smacznie spała.

A kiedy spotkała Maxa...

Byłoby cudownie mieć go w takiej chwili przy sobie, ale lepiej się stało, że się rozstali: przynajmniej nie obciąża go swoimi lękami. Max był pozornie spokojny i opanowany, lecz Paula czuła, że nie dał za wygraną. Przecież gdyby nie wczorajszy wypadek, nie pozwoliłby jej odejść bez słowa. Cały czas musiał obserwować ją przez okno i dlatego dostrzegł Elizabeth leżącą w basenie.

Muszę powiedzieć mu prawdę, postanowiła. O bezpłodności i o tym nowym guzku. Jesteśmy z sobą bardzo związani, zależy nam na sobie, wczoraj miałam najlepszy dowód. Pójdę do lekarza i kiedy uzyskam jakieś konkretne informacje, porozmawiam z Maxem.

Wizytę u onkologa miała o jedenastej, więc musiała poprosić Susan, by załatwiła na dwie godziny zastępstwo. Na szczęście gabinet onkologa znajdował się w centrum, dziesięć minut jazdy od szpitala.

- Masz jakieś pilne zakupy? - zapytała ją Deborah, kiedy usłyszała jej rozmowę z Susan.

- Nie, idę do lekarza - odparła Paula, postanowiwszy dłużej nie robić ze swej choroby sekretu.

Przez pięć lat bała się o tym wspominać, ale teraz nadszedł czas, by ludzie, z którymi pracuje, nieco więcej o niej wiedzieli. Zwłaszcza jeśli ten nowy guzek...

Nie zauważyła, że Max stoi nieopodal i słyszy każde jej słowo. Spojrzał na nią zaskoczony. On już wszystko wie, czyta w moich myślach, uświadomiła sobie przerażona.

- Niedobrze się czujesz? - zapytał, podchodząc do niej, kiedy tylko Deborah odeszła.

- Mam tylko zwykłą kontrolną wizytę - odparła z fałszywą beztroską w głosie.

- Paula! Dlaczego tak ze mną rozmawiasz! - zawołał i zaraz przerwał, bo właśnie mijała ich jedna z pielęgniarek.

Paula skorzystała z okazji i ruszyła w kierunku swojego gabinetu. Przez resztę dnia udawała jej się unikać Maxa. Wieczorem dzwonił do niej kilkakrotnie, ale nie odbierała telefonu; leżała nieruchomo, słuchając jego zdenerwowanego głosu. Potem przyjechał pod jej dom i widziała przez firanki, jak krąży po podjeździe, podchodzi do drzwi, a potem zrezygnowany odchodzi. Jej samochód stał w garażu i Max mógł przypuszczać, że nie mają jej w domu. Ale jutro... na pewno zażąda wyjaśnień.

Zadzwoiła do rodziców na Florydę, do Chrisa do Nowego Jorku i do Diane do Ohio, by im powiedzieć o swoich obawach. Za każdym razem rozpoczynała rozmowę wesołym tonem, bagatelizując swoje lęki, potem wybuchała płaczem, a pod koniec znowu żartowała. Chris był bardzo serdeczny, rodzice powiedzieli, że ją kochają, a Diane... tylko ona jedyną zrozumiała. Ale Diane miała kochającego męża i od siedmiu lat nie miała najmniejszych niepokojących objawów.

Resztę nocy spędziła pełna najgorszych przeczuć. Chciała nawet zadzwonić do Maxa, ale się powstrzymała. Nie! Nie

teraz! Porozmawia z nim dopiero kiedy będzie wiedziała coś konkretnego.

Nawet nie spojrzała w stronę telewizora; nie miała ochoty na „rozmowę” z jasnowłosą prezenterką programu szóstego.

- Chciałabym zrobić mammografię, badanie krwi i ultrasonografię - powiedziała nazajutrz rano do doktora Pressmana, zdając sobie sprawę, że ujawnia tym samym swoje podejrzenia.

- Najpierw zbadam pani pierś.

Doktor Thomas Pressman był powolny i opanowany. Już miała mu powiedzieć, że sama jest lekarzem i wie, co należy zrobić, ale opanowała się. Jako lekarz powinna przede wszystkim wiedzieć, że należy zachowywać się rozsądnie.

- Chyba rozumiem...

Doktor Pressman był nie tylko powolny, był ponadto lakoniczny. Jak Brian mógł jej polecić kogoś takiego! A jej onkolog z Ohio też wyrażał się o nim z najwyższym uznaniem!

- Chyba tak, rozumiem...

Powtórzył to takim samym beznamiętnym, denerwującym tonem.

- Tak, jest tu coś, ale... to chyba nie przerzuty...

Wcale nie poczuła ulgi; jak można wierzyć komuś tak nieprzekonującemu?

- Mówiłam już, panie doktorze, że nigdy dotąd ta pierś tak nie wyglądała i dlatego proszę, żeby...

- Chce pani zrobić mammografię i badania, tak? Rozumiem...

On za dużo „rozumie”, a stanowczo za mało robi! Zabrał się teraz do starannego wypełniania formularza obejmującego dotychczasowy przebieg jej choroby; jakby tego było mało, raz po raz zaglądał do dokumentów nadesłanych mu przez doktora Menckena z Ohio.

- Wyczuła to pani dopiero niedawno?

- Tak, bardzo niedawno.

- Rozumiem...

Miała ochotę uderzyć pięścią w stół.

- Nie ma pani żadnych podejrzeń co do powodów podobnych objawów?

- Nie.

- Rozumiem...

- Proszę mi zrobić...

- Siostra zaraz pobierze pani krew, zapiszę panią na biopsję, a przy okazji proszę również oddać mocz do analizy.

- Mocz? Do analizy?

- Musimy go zbadać.

Odpowiedź brzmiała enigmatycznie. Co ten żółw spodziewa się znaleźć w jej moczu? Jasne, podejrzewa przerzuty do nerek! Jak mogła o tym nie pomyśleć? Strach podpełzł jej do gardła i sparaliżował ciało.

- Dobrze - mruknęła zrezygnowana.

Poszła za pielęgniarką do odpowiedniego pomieszczenia i już po chwili wyszła z pełnym pojemniczkiem w rękę. Siostra Pat, wesoła i uśmiechnięta, wzięła od niej naczynie i zniknęła.

- Panie, doktorze, na co mam to przebadać? - usłyszała po chwili Paula.

Doktor Pressman odpowiedział coś niezrozumiale. Wyniki były gotowe bardzo szybko, sprawa najwyraźniej była oczywista... I tak każę sobie zrobić mammografię i ultrasonografię, postanowiła Paula. Muszę mieć pewność. Pat poprosiła ją do gabinetu i szeroko się uśmiechnęła.

- Czy ten uśmiech to dobry znak? - zapytała niepewnie.

- Myślę, że tak.

Doktor Pressman spojrział na nią znad okularów.

- Rozumiem... że pani nie wie, że jest w ciąży?

Grom spadł z jasnego nieba. Paula zachwiała się, żółte ściany nagle zaczęły wirować, mieniać się wszystkimi kolorami tęczy. Potem ujrzała nad sobą lekko zaniepokojoną twarz doktora Pres-

smana; szum w uszach powoli ustawał, a ściany z wolna wracały na swoje miejsce.

- Rozumiem... pani nic nie wiedziała... rozumiem.

Siostra Pat podała jej jakąś pastylkę i szklanekę wody.

- Bardzo się pani przejęła - powiedziała ze współczuciem.

- Zaraz zadzwonię do pani pracy i powiem, że pani zasłała i już nie przyjdzie. To są dopiero początki ciąży, ale i tak już trzeba bardzo o siebie dbać.

- To był dla mnie szok - przyznała szczerze Paula. - Sądziałam, że po chemioterapii jestem bezpłodna. Myślałam, że to jest przerzut do prawej piersi.

- Proszę nic nie mówić i jeszcze sobie odpocząć. Jest pani bardzo zmęczona, pani doktor. Siostrze, proszę podać pani coś do zjedzenia. Na pewno nie była pani w stanie nic przełknąć ze strachu.

- Nie, ale to teraz nieważne i bardzo przepraszam za zachowanie. Mammografię chyba odłożymy na później.

- Pobierzemy jeszcze krew, żeby panią całkowicie uspokoić. Jestem absolutnie pewien, że znajdziemy w niej tylko podwyższony poziom hormonów spowodowany ciążą. Nie wiem tylko, jaki ma pani stosunek do ciąży w związku z przebytą chorobą nowotworową...

- Ja wiem - przerwała mu Paula. - Chcę mieć to dziecko.

- Rozumiem... W takim razie serdeczne gratulacje i jeśli pani pozwoli, polecę pani doskonałego pediatrę.

Paula roześmiała się.

- Ja...

- Sądzi pani, że to nieco za wcześnie?

- Chyba tak.

Roześmiała się znowu.

- W takim razie, przepraszam, ale czeka na mnie pacjentka...

- Rozumiem! - wykrzyknęła radośnie Paula. - Sama wiem, jak to jest.

Pat powróciła, niosąc torebkę chipsów i batonik.

- To może nie jest właściwy posiłek dla kobiety w ciąży - zaczęła z zażenowaniem - ale...

- Nic nie szkodzi.

Wszystko jest takie nierealne...

Po kilku minutach pojawił się Max. Ku zdumieniu Pauli wszedł nagle do gabinetu, w którym zostawiła ją Pat. Twarz miał zmienioną strachem, a kiedy zdjął okulary, zobaczyła w jego oczach błysk przerażenia.

- Paula!

Próbowała coś powiedzieć, lecz głos zamarł jej w krtani; chciała wstać i podejść do niego, ale nogi się pod nią ugięły. Chwycił ją w ramiona i uwięził w żelaznym uścisku.

- Melissa powiedziała mi, że zasłaabłaś i przyjdiesz później. Co ci Pressman powiedział? Mów!

Rozpłakała się, a płacząc, nie mogła wykrztusić słowa. Max coraz silniej tulił ją do siebie.

-Ja...ja...

- Albo nic nie mów - szepnął. - Cokolwiek się stanie, zostanę z tobą. Właśnie to chciałaś mi wtedy powiedzieć? Dlatego chciałaś, żebym odszedł? Nie rób nam tego, Paula! Nie rozdzielaj nas, błagam! Medycyna poszła do przodu, jeśli chodzi o terapię antynowotworową, trzeba tylko dokładnie się badać... A jeśli to już się stało, pobierzemy się natychmiast i razem przeżyjemy ten czas, który został nam dany. Zawsze będziemy razem, bo cię kocham, słyszysz?

- Tak, Max, ale... Jajestem... w ciąży.

- Co?

Paula nabrała powietrza i otarła łzy.

- Myślałam, że mam raka, i jeszcze kilka minut temu byłam pewna, że nie mogę mieć dzieci. Dlatego właśnie, z powodu bezpłodności... Ja wiem, jak bardzo chcesz mieć dzieci. Janey mi powiedziała i wiem, jak tamte kobiety cię zawiodły. Stephanie, potem Kelly... Nie mogłam ci tego zrobić. Dlatego postanowiłam z tobą zerwać, ale teraz...

- Będziemy mieli dziecko! - Max patrzył na nią z niedowierzaniem - Naprawdę? Jak? Kiedy?

- To się wydarzyło wtedy, kiedy ci powiedziałam, że to bezpieczny moment. Naprawdę tak myślałam. Od przyjazdu do Arizony nie miałam miesiączki, ale moje ciało jak widać...

- Jest wspaniałe - powiedział i pocałował ją w usta.

Pocałunek niezupełnie się udał, bo Paula jeszcze pochlipywała a Max ciężko oddychał. Roześmiali się oboje, a może się rozplakali? Paula sama nie wiedziała, co robi, i Max chyba też. Czasem śmiech i płacz są tym samym i to samo wyrażają. Czasem mogą wyrażać szczęście, jakim jest nieoczekiwane przejście od śmierci do życia.

Paula zrozumiała, że Max ją kocha i gotów jest być przy niej zawsze, nawet w najgorszych chwilach. Objęła go. Czym ja sobie zasłużyłam na podobne szczęście? Czym ja sobie zasłużyłam na kogoś takiego? Tym razem całowali się bardzo długo.

- Max...

Na szczęście poczciwy i powolny doktor Pressman, który wszystko „rozumiał”, nie mógł zobaczyć, do czego tego dnia służy jego gabinet.

- Jak dobrze, że umówiłaś się na tę wizytę przed południem. Możemy spokojnie iść na lunch.

- Potem mam pacjentów.

- Ja też, ale teraz mamy mnóstwo czasu.

- Max... ta choroba może wrócić.

- Nic nie mów.

- Onkolodzy są zdania, że ciąża zwiększa ryzyko...

- Nie obchodzi mnie zdanie onkologów, obchodzi mnie tylko to, co ty o tym myślisz. Czy uważasz, że w ten sposób narażasz swoje zdrowie? Czy chcesz mieć to dziecko? Cokolwiek odpowiesz, będę po twojej stronie.

- Czy chcę mieć to dziecko? - powtórzyła. - Niczego na świecie tak nie pragnę. Wiem, że będę miała ataki paniki jak przez dwa ostatnie dni, wiem, że będę umierała ze strachu przed

każdą kontrolną wizytą, wiem, że nieraz życie ze mną będzie może trudne, ale przecież nikt nie wie, ile życia mu zostało, a jeśli ty będziesz przy mnie...

Max uśmiechnął się.

- Kiedy tujechałem, myślałem sobie, że będę przy tobie w chorobie, przy operacji, chemioterapii, że będę przy tobie, kiedy ci wypadną włosy i kiedy będziesz wymiotowała.

- To ostatnie wcale nie jest wykluczone...

- A teraz mam ochotę na solidny posiłek, i to zaraz. I wiesz co? Pobierzemy się natychmiast.

Paula poważnie skinęła głową.

- Już się nie mogę doczekać dnia, kiedy ci powiem, że będę z tobą, dopóki śmierć nas nie rozłączy. Powiem ci to przy świadkach, Max, bo kocham cię całym sercem.

- Ja też cię kocham.

Po drugiej stronie drzwi siostra Pat zawieszała właśnie na klamce kartkę z napisem: „Nie przeszkadzać”.